MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 41. WARSZAWA, 22 WRZEŚNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

CZERWONY SZTANDAR W DYPLOMACJI

W POLITYCE międzynarodowej, której kształty obecne zarysowały się wcale wyraźnie w Hadze w sierpniu r. b. i w Genewie we wrześniu r. b., czuje się wzmożony powiew poglądów socjalistycznych 2-ej Międzynarodówki.

Inaczej być nie może, skoro na widowni, jako przedstawiciele kilku państw pierwszorzędnych, zjawiają się działacze socjalistyczni. Z ramienia Wielkiej Brytanji byli w Hadze pp. Snowden i Henderson, a w Genewie pp. Ramsay Macdonald i Henderson, czyli socjaliści jako wyłączni przedstawiciele polityki brytyjskiej, chociaż bez większości własnej w parlamencie. Z Niemiec obok p. Stresemann'a, właściwie dość bliskiego wszechniemców w swej długiej działalności politycznej, był w Hadze socjalista p. Hilferding, a w Genewie był socjalista p. Breitscheidt, aby jakoś dać wyraz istnienia rządu z socjalistą p. Hermanem Müller'em jako kanclerzem Rzeszy na czele. We Francji w lipcu b. r., tuż przed wielkiemi naradami międzynarodowemi, stanowisko kierownika rządu w miejsce p. Poincaré'go objął p. Briand, co samo przez się już oznacza pochylenie się na lewo, nadto zaś już przed Hagą pchał p. Briand'a w rozprawach parlamentarnych bardzo stanowczo ku bezwarunkowej ewakuacji nadreńskiej, w mowach socjalisty p. Blum'a i radykała p. Herriot'a, jakby zmartwychwstający Kartel Lewicy, który liczy na to, że raczej lewica, a nie prawica i środek, będą mogły poprzeć politykę powracającego z Hagi i Genewy p. Briand'a. Jednem słowem z poza dyplomacji tych narad ostatnich wyziera większy lub mniejszy szmat czerwonego sztandaru.

W znacznej mierze zarysowuje się przeto podobieństwo między rokiem 1924 a rokiem 1929 na gruncie międzynarodowym w Europie. Wówczas rozstrzygającą nowością było zjawienie się po raz pierwszy wogóle, a w szczególności po wojnie światowej, rządu Labour Party w Anglji, oraz we Francji, gdzie odszedł rząd p. Poincaré'go, rządu Kartelu Lewicy z p. Herriotem na czele. Obecnie znowu jest ten sam rząd Labour Party w Anglji, we Francji wprawdzie w miejsce p. Poincaré'go niema jeszcze wprost Kartelu Lewicy, ale jest p. Briand bardzo czuły od lewego boku, a w dodatku w Niemczech jest rząd z przewagą socjalistyczną, doskonale nadający się do potrzebnych oddźwięków. Ponieważ zaś powiew socjalistyczny w polityce międzynarodowej r. 1924 nie minął bez śladu, zjawiają się siłą rzeczy pewne znajome objawy także w r. 1929.

*

Socjaliści wchodzą na grunt dyplomacji i polityki międzynarodowej z rozpędem, nabranym zupełnie gdzieindziej, mianowicie na wiecach i zebraniach ludowych, gdzie przez lata nie zostawiali suchej nitki na wszystkiem, co jest, oraz zapowiadali, jakby to było całkiem inaczej, gdyby oni ster wzięli w ręce.

Jest dla nich rzeczą zupełnie niemożliwą pozostać na utartych torach i prowadzić politykę międzynarodową podobnie do biegu rzeczy poprzedniego. Byłoby to bowiem pewnego rodzaju samobójstwem. Rzesze zwolenników, nasłuchawszy się nadzwyczajności o tem, jak wszystko trzeba zmienić od góry do dołu i wszerz i wzdłuż, musiałyby bardzo otrzeźwieć w swej wierze w socjalizm, gdyby widziały, że pozostaje tylko ciąg dalszy tego, co było stale.

Pół biedy jest jeszcze, póki polityka socjalistyczna na gruncie międzynarodowym zadowala się rzucaniem wielkich słów i haseł, pozostawiając urzędom dyplotycznym prowadzenie polityki w zwykły sposób. Ale ta gra jest zbyt przejrzysta i nie wystarcza dla wywiązania się socjalistów z obietnic i zapowiedzi. Trzeba w sposób uchwytny robić socjalistyczną politykę międzynarodową i dyplomację, a wtedy zaczyna się już nie pół ale cała bieda.

Nieostrożności polityki socjalistycznej, żeglującej pod górnolotnemi hasłami i nawet często w dobrej wierze podejmowanej, stają się szczególnie niebezpieczne, gdy jest w zespole, upajającym się temi wzniosłościami, ktoś kto równocześnie myśli o wyzyskaniu ich pocichu w sposób bardziej rachunkowy, w czem w naszych pięknych czasach celuje uczeń i wielbiciel Bismarck'a z jednej strony, a laureat pokojowy Nobla z drugiej strony, p. Stresemann.

*

W r. 1924 kiedy Labour Party stanęło u steru w Anglji, a Kartel Lewicy we Francji, postanowiły socjalistyczne grupy tych krajów, zasiadające w 2-giej

Międzynarodówce z socjalistami niemieckimi, przeprowadzić szybko politykę pojednania z Niemcami. Na gruncie 2-giej Międzynarodówki było to oczywistą koniecznością, skoro się tam razem siedziało, a podobnie na gruncie stronnictw socjalistycznych tych krajów, które wobec wspólnej przynależności do międzynarodówki nie byłyby rozumiały innej polityki. Stąd też trzeba było dociągać życie bardzo sztucznie do tej z góry przyjętej wytycznej.

Postanowiono zatem szybko wprowadzić Niemcy do Ligi Narodów. Celem usunięcia przeszkód załatwiono w sierpniu 1924 r. w Londynie sprawę odszkodowań planem Dawes'a, który Niemcom dawał zwolnienie z okupacji Ruhry, przeprowadzonej poprzednio przez p. Poincaré'go i dającej dobre wyniki także w płaceniu przez Niemcy, oraz dawał im 800 miljonów pożyczki zagranicznej, a wierzycielom dawał niedość pewne zapowiedzi rat rocznych, tak iż po pięciu latach okazało się, że trzeba robić nowy Plan Young'a. A dla usunięcia znów przeszkód w drugiej dziedzinie, bezpieczeństwa, sporządzono w Zgromadzeniu Ligi Narodów we wrześniu 1924 słynny Protokuł Genewski, który stał się wyznaniem wiary socjalistycznej, a uchwalony został jednomyślnie, z drobnym dodatkiem, że uchwała nie jest jeszcze przystąpieniem do niego, które ma się zgłosić osobno. Ale równocześnie, jakby to już było załatwione, przesłano Niemcom zaproszenie do Ligi i obiecano im stałe miejsce w Radzie.

Następnie zaś... Protokuł Genewski, ustalający zasady bezpieczeństwa powszechne, okazał się dziecięciem zrodzonem martwo, bo odrzuciła go Wielka Brytanja, pozbywając się równocześnie Rządu Labour Party, który był wodzirejem w tym krótkotrwałym tańcu międzynarodowym.

Ale... pozostało zaproszenie Niemiec do Ligi i do Rady Ligi.

Niemcy pochwycili sposobność. Protokuł Genewski, niedogodny dla wszystkich, którzy nie chcieli wiązać się niczem, zastąpiono w rokowaniach w Berlinie z lordem d'Abernon ciaśniejszym Paktem Reńskim, który jest jedyną istotną częścią układów z Locarno z października 1925, wystawiających na sztych bezpieczeństwo na wschodzie. Następnie Niemcy weszli do Ligi na warunkach uprzywilejowanych, jako jedyny nowy stały członek Rady. W przeciągu dwu lat stanowisko Niemiec w Europie zmieniło się całkowicie.

Taki był jedyny wynik socjalistycznej polityki międzynarodowej z r. 1924.

*

W r. 1929, istniejący znowu od czerwca rząd Labour Party w Anglji wywiera nacisk na usunięcie okupacji Nadrenji, wcale jasno zapowiada, że pozostawi Francję samą w obszarze okupowanym, gmatwa naradę w Hadze w sierpniu sporem p. Snowden'a ze Sprzymierzonymi, odsuwając w cień rozumne rokowania z p. Stresemann'em w sprawie ewakuacji Nadrenji, co wszystko doprowadza, przy silnem parciu lewicy socjalistycznej i radykalnej we Francji w tym samym kierunku, do usunięcia okupacji Nadrenji dosłownie za nic, bez zamiennych rękojmi bezpieczeństwa.

W Genewie zaś p. Ramsay Macdonald, w mowie z 3-go września b. r., rzuca dwa hasła:

1. wobec tego, że istnieje Pakt Kellog'a, który wojnę stawia poza prawem, czyli czyni ją niemożliwą, należy dostosować do tego stanu rzeczy Pakt Ligi, który jeszcze wojnę uznaje za możliwą, czyli zmienić art. 12 i 15 Paktu.

2. wobec tego, że wojna nie grozi, należy przyśpieszyć rozbrojenie, a nawet powiedzieć sobie, że teraz właśnie to, czy się je przyśpieszy, będzie miarą, czy Liga jest coś warta.

Podstawą tego rozumowania jest to, że Pakt Kellog'a czyni wojnę niemożliwą. Jest to zupełna nieprawda. Pakt Kellog'a bardzo uroczyście potępia wojnę, ale nie zawiera żadnych sposobów, zapewniających, że wojny nie będzie.

Podobnie jak w r. 1924 na złudzie Protokułu Genewskiego, który nigdy nie wszedł w życie, oparto t. zw. pojednanie z Niemcami, pełne wyłącznych dla nich korzyści, tak w r. 1929 na złudzie, jakoby Pakt Kellog'a usunął możliwość wojny, buduje się politykę usuwania z Paktu Ligi postanowień bardziej dostosowanych do rzeczywistości, a przedewszystkiem politykę... rozbrajania tych, którzy będą napadnięci.

Niemcy oczywiście znowu pochwyciły sposobność. P. Stresemann w mowie 9-go września b. r. szybko odpowiedział p. Macdonald'owi, że trzeba zmienić i inne artykuły Paktu Ligi, wskazując okrężnie, ale dostatecznie wyraźnie, że myśli o słynnym art. 19-tym t. j. o t. zw. pokojowej zmianie traktatów i granic, skoro wojen już niema, nadto zaś z pełnej piersi poparł żądanie rozbrojenia, jako sprawę bytu lub niebytu Ligi. Dla dalszego prowadzenia dzieła odwetu przez Niemcy są to posunięcia jak ulał.

Tak się zapowiadają następstwa socjalistycznej polityki międzynarodowej w r. 1929.

Żywiołem, w którym polityka ta najlepiej się rozwija, jest nastrój. Wobec pojawienia się u steru Rządu Labour Party i jego krańcowych haseł, p. Briand, nie chcąc pozostać w tyle, rzucił myśl Stanów Zjednoczonych Europy, których możliwość nie przedstawia nam się z pewnością łatwiej, niż ludziom trzeźwym wogóle. Ale pływa się w nastroju, szumią górne słowa, a wśród ogólnych zachwyceń można coś a nawet dużo uciułać, jeśli się myśli, jak Niemcy, tylko o sobie.

*

Zdawałoby się, że socjalistyczna polityka międzynarodowa będzie w zgodzie przynajmniej z podstawami 2-giej Międzynarodówki, t. j. uwzględni wszystkie kraje i wszystkie grupy socjalistyczne.

Tej potrzebie dawał wyraz Protokuł Genewski, który obejmował bezpieczeństwo powszechne, wszędzie równo, przynajmniej w ogólnym zarysie. I istotnie Protokuł Genewski jest nadal... hasłem socjalistycznem. Ale zupełnie coś innego jest... rzeczywistą polityką międzynarodową socjalistyczną, mianowicie zadowolenie się bezpieczeństwem na zachodzie, z pozostawieniem wschodu na łup zawieruch, oraz wmawianie w siebie i w innych, że Pakt Kellog'a daje rękojmie bezpieczeństwa, gdy właśnie cechą, która go różni od Protokułu Genewskiego a nawet od Paktu Ligi, jest to, że nie zawiera on żadnych rękojmi. Między hasłem a rzeczywistością międzynarodowej polityki socjalistycznej jest przepaść, a ta przepaść dzieli Europę na część zachodnią, mającą bezpieczeństwo, oraz wschodnią, zdaną na wszelkie możliwości.

Ta przepaść między hasłem a rzeczywistością znakomicie dogadza socjalistom niemieckim z 2-giej Międzynarodówki, którzy nie tają, że chcą zmian na wschodzie, ale wcale nie uwzględnia stanowiska socjalistów polskich z 2-giej Międzynarodówki, którzy chcą chyba istotnej równości bezpieczeństwa.

Międzynarodowa polityka socjalistyczna jest zatem nieszczera sama w sobie, bo inna w haśle a inna w rzeczywistości; jest nierówna wobec socjalizmów poszczególnych krajów; jest niebezpieczna dla pokoju powszechnego sianiem złud, które osłabiają wszystkich, a wzmacniają Niemcy, posługujące się w swej odwetowej polityce bardzo umiejętnie polityką międzynarodową 2-giej Międzynarodówki.

STANISŁAW STROŃSKI

NOWY KURS W SZKOLNICTWIE KRESOWEM

Wśród szumnych zapowiedzi, jakiemi ludzie „pomajowi" usprawiedliwiali dokonany przez siebie zamach, jedno z najważniejszych miejsc zajmowało wprowadzenie nowej polityki szkolnej na kresach wschodnich. Miała ona pozyskać dla państwa polskiego ludność rusińską, białoruską i litewską. Wprawdzie program tego nowego kursu nie był jasny, gdyż obracał się koło mętnych haseł zerwania z dawnemi stosunkami rzekomego ucisku i, nawet wbrew ustawom obowiązującym, otwierania masowego szkół obcojęzycznych, nie mniej jednak już naprzód zapowiadano błogie skutki tej „nowej, szerokiej, mądrej, prawdziwie państwowej polityki szkolnej".

Zaczęło się od tego, co było najłatwiejsze: od zmiany ludzi. Zwolniono kuratorów wszystkich czterech okręgów wschodnich, usunięto prawie wszystkich wizytatorów w tych okręgach, podobnie też załatwiono się z wielu dyrektorami gimnazjalnymi i inspektorami szkolnymi. Przyszli nowi ludzie, „swoi", zupełnie nieprzygotowani, najczęściej nie orjentujący się w złożonych zagadnieniach narodowościowych, a nawet nie bardzo pewni w zwyczajnych kwestjach szkolnych.

Mija już od tego czasu przeszło trzy lata, a więc okres czasu wcale pokaźny, by nowy kurs mógł poszczycić się jakiemiś dodatniemi rezultatami. Niestety, rezultaty te są smutne.

W Małopolsce Wschodniej stosunki w szkolnictwie rusińskiem są bardziej zaognione, niż przedtem. Nigdy nie było tylu zamachów, wrogich manifestacyj, tyle otwartej agitacji antypaństwowej, jak obecnie, pomimo tego, że rząd usłużnie pousuwał nietylko zasłużonych i wytrawnych kierowników szkolnictwa, ale nawet przez dłuższy czas teroryzował ludzi pracujących w „Sokole" i Tow. Szk. Lud. Nastąpiło dziś podobno pod tym względem pewne otrzeźwienie, jednak to nie może zmienić sądu o nowych ludziach i nowym kursie, który na całej linji zawiódł...

Nie lepiej rzecz przedstawia się i na Wołyniu. Województwo to, niedawno zupełnie spokojne, dziś zaroiło się od nauczycieli Ukraińców, wpuszczonych masowo z Małopolski. Wprowadzają oni swoje metody w walce politycznej i rozwijają z całą energją działalność antypaństwową.

Na północ od Wołynia rozciągają się olbrzymie obszary Polesia, Nowogródczyzny i Wileńszczyzny, a więc tych ziem, z których przedewszystkiem pochodzą najwybitniejsi działacze i kierownicy nowych rządów. Nigdy bodaj nie naczytaliśmy się i nie nasłuchali tyle o Białej Rusi, co w latach 1926 i 27-ym. Marzenia o pozyskaniu przyjaźni Litwinów i Białorusinów były najmilszym tematem licznych artykułów dziennikarskich w „Słowie" wileńskiem i „Kurjerze Wileńskim" oraz w tych pismach warszawskich, które w tych sprawach były ich echem. Krzyczano radośnie, że wreszcie przyszli do głosu ludzie, którzy rozumieją zawiłe i niedostępne dla ludzi z innych dzielnic stosunki województw północno-wschodnich.

Z dziwną niekonsekwencją pousuwano między innymi i tych ludzi miejscowych, którzy naprawdę znali język i lud białoruski, natomiast sprowadzono nowych wizytatorów, przeważnie z Małopolski Zachodniej i z Warszawy, i poczęto tworzyć „nową erę" z wyjątkową energją. Ale złośliwy los ciągle mieszał im szyki, piękne miraże jakiejś sielankowej i harmonijnej współpracy wszystkich miejscowych obywateli coraz bardziej się rozwiewały i zamieniały na obrazy rzeczywistości smutnej i szkodliwej dla Państwa.

Zaczniemy od szkół litewskich. Co za ironja losu! Ludzie nowi, niewątpliwie szczerze wierzyli, że usunięcie wszelkich przeszkód szkolnictwu litewskiemu pociągnie opornych Litwinów do polityki państwowej, a przynajmniej uczyni ich lojalnymi obywatelami. Rezygnowano z najbardziej elementarnych wymagań, nawet takich, które stawiano prywatnym szkółkom „Macierzy", patrzano więc przez palce na to, że nauczyciele szkół litewskich nie mieli żadnego przygotowania zawodowego, gdyż często całe ich wykształcenie polegało na ukończeniu dwóch, trzech klas nędznego gimnazjum lub jakiegoś kursu kilkutygodniowego; tolerowano, że szkoły mieściły się w najnędzniejszych chatach i że nauka w tych szkołach trwała najczęściej tylko od listopada do kwietnia; nie wyciągano też żadnych konsekwencyj z tego, że tylko drobna część zapisanych chodziła do szkoły, a inni do niej nie zaglądali i powiększali procent analfabetów.

W szkołach litewskich wisiały jedynie portrety ks. Witołda. Mapy dzisiejszej Litwy obejmowały Wilno, Grodno, Nowogródek i t. d. Czytanki litewskie, używane w tych szkołach, są drukowane w Kownie lub Tylży czy Królewcu, roją się też one od ustępów nam wrogich. Jako przykład przytoczę z jednej z tych czytanek opowiadanie o Władysławie Jagielle, „bratobójcy i trucicielu". Najbardziej pobłażliwie postępowano z rozpolitykowanemi gimnazjami litewskiemi w Święcianach i w Wilnie; to ostatnie otrzymało nawet prawa publiczności. Cała jednak ta pobłażliwość nic nie pomogła i wreszcie sam rząd uznał, że to do niczego nie prowadzi i zamknął tytułem „retorsji" 40 szkół powszechnych i seminarjum litewskie: słowem wywołał stan wojenny między ludnością polską i litewską stokroć bardziej zapalny, niż przed rokiem 1926-tym. Doszło do tego, że aresztowano prawie wszystkich wybitniejszych działaczy litewskich, między innymi i kilku księży. „Nowy kurs" skompromitował się w zupełności i to na tym odcinku, który leżał najbardziej na sercu ludziom dzierżącym władzę. Załatwienie pomyślne problemu litewskiego było niejako osobistą ambicja tych ludzi. Wyjątkowo też dużo zapału wkładali w tę sprawę, niestety, daremnie.

Z kolei zobaczmy, jakie owoce zbiera nowa polityka na drugim terenie, którego dokładne znawstwo i głębokie odczucie przypisywali sobie jedynie „sanatorzy". W piewszych miesiącach rozdmuchiwano nadzieje grupki prowodyrów białoruskich do niebywałych rozmiarów. Podsycano wprost sztuczny ruch białoruski i, nie bacząc na przestrogi ludzi miejscowych, pozwalano na agitację komunistyczną „hurtków", rosnących jak grzyby przy pomocy pieniędzy bolszewickich. I dopiero pod grozą bezpośredniego niebezpieczeństwa zdecydowano się zamykać „hurtki", które już zabierały się do podpalania majątków polskich i otwarcie wielbiły rządy bolszewickie. A straszliwa ironja losu sprawiła, że ten rząd, który miał być zaprzeczeniem dawnej, rzekomo jątrzącej polityki, widział się zmuszonym do aresztowania prawie wszystkich przywódców białoruskich.

Lecz i to sparzenie się nie nauczyło wiele zaślepionych teoretyków. Minister Dobrucki, wykonując ich polecenia, rozpoczął swą działalność od tego, że przyjechał do Wilna i odwiedził gimnazjum białoruskie. Podobno nie bardzo poznali się Białorusini na tej uprzejmości. Jeden z uczniów wygłosił wobec ministra i jego świty niesłychanie bezczelny wiersz, brzmiący mniej więcej w ten sposób:

„Zabrali nam nasze ziemie, Wydarli nam język ojczysty, Zmienili wiarę naszych ojców! Niech djabli porwą tych [Lachów!"

Na lekcji historji nauczyciel wypytywał uczniów o dawnej świetnej epoce białoruskiej, która skończyła się z powodu „nieszczęsnej unji lubelskiej".

Mimo tego gimnazja białoruskie były dalej przez rząd popierane. Wojewoda nowogródzki zajął się gorliwie gimnazja białoruskiem w Nowogródku, wydobywając nawet poważne subwencje dla bursy. Tworzono liczne kursy dla nauczycieli białoruskich, a dzienniki „sanacyjne" rozpisywały się o potrzebie otwarcia katedr białoruskich na uniwersytecie wileńskim. Wreszcie gimnazja białoruskie w Nowogródku i w Wilnie otrzymały prawa szkół państwowych, kilka etatów nauczycielskich płatnych przez państwo.

Czy jednak te ustępstwa wpłynęły na poprawę stosunków? Czy nastąpiło zapowiadane harmonijne współżycie wszystkich mieszkańców? Stanowczo nie. A oto kilka przykładów:

Nauczyciele (dyrektor Ostrowski, Janko Stankiewicz i A. Łuckiewicz), którzy przyjęli etaty państwowe w gimnazjum białoruskiem, zostali wykluczeni z Towarzystwa Białoruskiej Szkoły. Widać, że nawet tak wielkie ustępstwa polskie nie zadowoliły wszystkich polityków białoruskich. Istotnie trudno byłoby wszystkim, choć ich liczba nie jest wielka, dać pensje państwowe.

Weźmy inny przykład: Tuż nad granicą, w małem miasteczku, Radoszkowicach, istnieje gimnazjum białoruskie, jeżeli wogóle tę parodję szkoły można nazwać gimnazjum. Szkołą i internatem kierują białoruscy metodyści. Sprytni ci ludzie, udając wobec swych zagranicznych pryncypałów gorliwych apostołów metodyzmu, w rzeczywiści utrzymują stosunki z Mińskiem i swym owieczkom ułatwiają ucieczkę przez granicę. Nic dziwnego też, że w końcu rząd, mimo całej pobłażliwości, zamknął to gimnazjum. Odżywa ono jednak pod formą szkoły powszechnej 7-klasowej i internatu i dalej podtrzymuje swój proceder. W drugiej połowie sierpnia znowu trzech uczniów uciekło przez zieloną granicę do Mińska. Pisma wileńskie, podając ich nazwiska, dodały, że jeden z nich był już poprzednio znany jako członek „jaczejki bolszewickiej w gimnazjum białoruskiem", o innym zaś zaznaczyły, że stał się wybitnym działaczem w kole „bezbożników" w Mińsku.

Ostatni przykład może najbardziej charakterystyczny: Już od kilku lat, bo od roku 1924-go zapowiadano wydanie elementarza białoruskiego, drukowanego czcionkami łacińskiemi. Wobec nieustalonej pisowni białoruskiej, wobec tego, że sami Białorusini wahają się, czy mają wprowadzić jako swój alfabet narodowy, cyrylicę czy łacinę, wreszcie uwzględniając poważny odsetek katolików-Białorusinów należało wprowadzić czytanki drukowane łacinką. Trzeba było się śpieszyć. Tymczasem nowe rządy poczęły sprawę przewlekać, a nawet minister Dobrucki wydał przed kilku laty rozporządzenie dziwaczne, że należy wprowadzić do szkół białoruskich cyrylicę lub łacinkę, zależnie od woli ludności i stosunków miejscowych. Można sobie wyobrazić, jaki zamęt wywołało to zupełnie nieuchwytne rozporządzenie.

Wreszcie w tym roku, po kilku latach niepotrzebnego wahania, postanowiono wprowadzić czytankę białoruską, drukowaną łacinką i wydaną wskutek starań z przed kilku laty. I oto jak sfery białoruskie, którym rząd tyle już ofiar złożył, odpowiedziały.

W jednym z numerów sierpniowych pisma „Białoruskaja Krynica" (Nr. 26 z d. 17 sierpnia b. r.) czytamy, co następuje:

„Centralny Zarząd Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury na swojem posiedzeniu dnia 31 lipca 1929 r., rozpatrzywszy sprawę rozporządzenia szkolnych władz o wprowadzeniu w białoruskich szkołach elementarza Stanisława Lubicz-Majewskiego, wydanego we Lwowie w r. 1929 przez państwowe wydawnictwo książek szkolnych, stwierdził, że:

1) Elementarz Majewskiego odstępuje w zupełności od ogólnie przyjętych zasad białoruskiej gramatyki i ortografji,

2) nie uznaje on białoruskiego abecadła, wprowadzając między innemi „cz" i „sz" zamiast ogólnie przyjętych „c" i „s" i wyrzucając litery „f" i „g", używane w słowach międzynarodowych,

3) Elementarz Majewskiego kaleczy w znacznym stopniu białoruską mowę, używając często polonizmów i rusycyzmów, a także wprowadzając żywcem rosyjskie i polskie słowa,

4) ignoruje gramatyczne i ortograficzne zdobycze białoruskiej filologji i w ten sposób cofa sprawę białoruskiej mowy o kika dziesiątek lat, wyrządzając w ten sposób wielką szkodę rozwojowi białoruskiej mowy i kultury,

5) wreszcie elementarz L.-Majewskiego jest przepojony duchem nie białoruskim, bo w treści jak i w ilustracjach uwzględnia Warszawę, Wisłę, Karpaty, Wawel i Kraków, a pomija historyczne i kulturalne ośrodki naszego kraju.

Wobec tego C. Z. B. I. G. i K., podając wszystko powyżej wskazane do wiadomości społeczeństwa i odpowiednich władz szkolnych, zakłada protest przeciw wprowadzeniu elementarza L.-Majewskiego do szkół białoruskich' jako szkodliwego dla białoruskiej oświaty".

Ciekawi jesteśmy, jak wobec tego protestu postąpią sfery wpływowe. Czy znowu nie ulękną się i nie każą stosować się do „woli ludu", wyrażanej najczęściej przez jakiegoś agitatora, opłacanego przez Mińsk bolszewicki, czy też po tylu błędnych posunięciach i wahaniach okażą siłę i nieustępliwość? Zobaczymy. Na razie jesteśmy świadkami rozognienia się stosunków i to na tej ziemi, która była dotychczas spokojna, której olbrzymia większość mieszkańców zachowała się lojalnie wobec państwa polskiego i garnęła się żywiołowo do nauki języka polskiego.

*

Nie było moim zamiarem przedstawiać całego zagadnienia białoruskiego, które niepotrzebnie wydęto do olbrzymich rozmiarów. Chciałem tylko wykazać, że podobnie jak w dziedzinie polityki zewnętrznej, wewnętrznej i gospodarki, tak i na polu szkolnictwa na kresach stoimy tam, gdzieśmy byli przed trzema laty, a nawet na niejednym punkcie cofnęliśmy się, a tymczasem okres trzechletni, a więc prawie jedna trzecia część naszego nowego bytu niepodległego, został zmarnowany. Trzeba będzie wszystko odrabiać.

Nie widać też żadnego postępu w ujęciu kwestji białoruskiej przez miejscowych Polaków, na których przecież ten rząd, jak i każdy inny rząd polski, musi opierać się przy dalszej budowie państwa. Miejscowi politycy, a tych Wileńszczyzna ma wyjątkowo wielu, nieustannie dyskutują nad tym problemem, bynajmniej jednak nie zbiżając się do jego rozwiązania. Zarysowują się w ogólnych konturach trzy odmienne punkty widzenia.

Olbrzymia większość miejscowych Polaków twierdzi nadal, że niema uświadomionej narodowości białoruskiej. Są to tylko miejscowi, „tutejsi" ludzie, posługujący się językiem „prostym", którzy sami uważają za coś niższego od języka polskiego, „pańskiego". Pragną oni, by dzieci ich w szkole uczyły się tylko po polsku. Chłopi uważają, że wprowadzenie języka białoruskiego jest „wydumką" panów, chcących przeszkodzić dzieciom chłopskim wyjść kiedyś na ludzi. Krąży też na tem tle po Wileńszczyźnie wiele anegdotek. Według opinji większości polskiej wprowadzenie języka białoruskiego, zainaugurowane ze złośliwością za okupacji niemieckiej, a potem sztucznie forsowane za Osmołowszczyzny jest zupełnie niepotrzebnem mąceniem w spokojnym kraju, wywoływaniem niebezpiecznych prądów wśród ludności, lgnącej do Polski od dawnych lat.

Druga grupa natomiast, znacznie mniejsza, ale silnie związana ze sferami rządowemi, reprezentowana

przez „Kurjer Wileński“, wierzy, że narodowość białoruska nie tylko istnieje, ale że rozwija się wyjątkowo szybko. Proces ten zaczął się jeszcze w czasach rosyjskich; stworzyli go miejscowi Polacy, widząc w nim potężną broń przed zupełną rusyfikacją kraju. W Białorusinach widziano najwierniejszch i najpoważniejszych sprzymierzeńców w walce z caratem. Dziś obowiązkiem Polski wolnej jest kontynuować tę samą politykę, zwłaszcza, że się jej chwycili bolszewicy. Mińsk, posiadający uniwersytet białoruski, stał się centrum propagandy białoruskiej antypolskiej, mogącej pociągnąć i naszą ludność białoruską. Jest to pewien rodzaj wyścigów i rzeczą przezornej polityki państwowej jest nie dać sobie wytrącić z rąk inicjatywy. Przez popieranie ruchu białoruskiego pozyskamy sobie sympatje nietylko miejscowej ludności, ale i ludności zakordonowej.

Jest wreszcie trzecia grupa. Nie rozstrzyga ona teoretycznie samej kwestji, czy będzie uświadomiony naród białoruski czy nie, uważając, że takie problemy nie dają się rozwiązywać w drodze czystej dedukcji. Propaganda mińska jest przedewszystkiem komunistyczna i w licytowaniu się z bolszewikami możemy tylko przegrać, gdyż zawsze oni mają hasła radykalniejsze i bardziej przemawiające do naiwnego ludu: zabranie ziemi i zupełna samodzielność Białorusinów w osobnej republice sowieckiej. Nie mamy też sił ani obowiązku, by tworzyć za Białorusinów ich kulturę odrębną. Obowiązek nasz, jako państwa demokratycznego i konstytucyjnego spełniamy w zupełności, jeżeli zgodnie z bardzo liberalną ustawą sejmową, uchwaloną przez sejm olbrzymią większością, otwieramy bez żadnych trudności szkoły białoruskie wszędzie tam, gdzie ludność tego się domaga.

Agitacja ze strony polskiej wśród ludności białoruskiej, by domagała się szkoły białoruskiej zamiast polskiej, jest szaleństwem i świadczy o niepoczytalności ludzi, wpatrzonych w jakieś urojone, dalekie horyzonty, a nie widzących straszliwych szkód, wyrządzanych przez to sprawie polskiej. Zadania oświatowe nasze polegają na uczciwej pracy nad całością szkoły, która z natury rzeczy jest w ogromnej przewadze polska. Tworzenie nowych szkół, podnoszenie istniejących na coraz wyższy poziom jest nietylko pogłębieniem kulturalnej pracy polskiej, trwającej już od kilku wieków, ale też jest najlepszem zapewnieniem przynależności tych ziem do państwa polskiego.

Najbardziej groźne jest sztuczne tworzenie gimnazjum białoruskich; absolwenci tych szkół staną się przewódcami ludności białoruskiej i już ze względów osobistych, nie mówiąc o pobudkach politycznych, będą domagać się najpierw autonomji kulturalnej, potem terytorjalnej, wreszcie samodzielności politycznej. Jest to więc pewne przygotowanie do usunięcia charakteru polskiego z tej ziemi, a wślad za tem oderwanie jej od Polski.

Takie trzy opinje istniały i dawniej, ale niestety nie widzi się, by krystalizowała się jakaś jedna, nowa myśl i to nietylko wśród ludności, lecz i wśród tych, którzy rządzą.

Mnóstwo energji włożono w ciągu ostatnich trzech lat w załatwienie problemów narodowościowych i tych nie rozwiązano, a nawet je bardziej zagmatwano. Za to przez usunięcie ludzi doświadczonych, znających stosunki miejscowe, obniżono pracę szkoły, wprowadzono zniechęcenie wśród nauczycielstwa, zdemoralizowano słabych, steroryzowano innych, rwących się do pracy oświatowej pozaszkolnej. Jakiś przerażający marazm zawisł nad szkołą polską, nad naszemi kuratorjami wschodniemi i inspektoratami.

W artykule swoim omawiałem głównie stosunki wileńskie, jako najlepiej mi znane, ale niestety stosunki te, choć może są najbardziej zagmatwane, są najlepszym przykładem tego, co się dzieje na kresach wschodnich. Naprawdę nie było dla czego niszczyć egzystencji setek a może i tysięcy rodzin polskich nauczycieli i urzędników i w ten sposób osłabiać polski element na wschodzie.

Przy porachunku, który kiedyś będzie musiała złożyć „sanacja“, podniecenie zamętu narodowościowego i równoczesne osłabienie szkoły polskiej na kresach wschodnich będą stanowiły—po stronie jej *debet*—ponurą pozycję.

J. KORN.

MYŚL POLITYCZNA J. L. POPŁAWSKIEGO. III.

SYJONIZM I ANTYSEMITYZM

UWAGI swoje o syjonizmie określa Popławski[1]) jako „skromny przyczynek do ustalenia genezy i zdania sobie sprawy z istoty ruchu syjonistycznego i jego rysów znamiennych“, tembardziej, że geneza syjonizmu jest nawet przez syjonistów, — przynajmniej tych, których poglądy znamy, dodaje Popławski — „fałszywie przedstawioną“, jako reakcja przeciw antysemityzmowi.

Ale i Żydzi asymilatorzy zdawali się nie rozumieć syjonizmu. Wedle nich cele syjonizmu miały się zamykać: 1) w szukaniu ratunku przeciw „upośledzeniom i prześladowaniom w ścisłem zespoleniu się wszystkich Żydów“ i 2) w łudzeniu się „fantasmagorją wskrzeszenia bytu państwowego w Palestynie“. Sami asymilatorzy ówcześni określają te hasła, jako „błędne i rozkładowe“, a zwolenników ich dzielą na 1) „rozmyślnych wichrzycieli“ i 2) „liczną rzeszę Żydów, boleśnie odczuwających odtrącenie przez społeczeństwo, wśród którego żyją od wieków“.

Popławskiego nie wzrusza łezka, zawarta w tem rzekomem odtrąceniu oraz „upośledzeniach i prześladowaniach“; uważa on syjonizm za ruch nie „idealny tylko i doktrynerski“, jak to podnosili piszący u nas o syjonizmie Żydzi, np., A. Nossig, ale za ruch „realny, polityczno-społeczny“.

Przytacza Popławski opinję „Gazety Polskiej“, w której Redakcja „zaznacza, że syjonizm jest samoistnym wytworem myśli żydowskiej; zmodernizował on tylko odwieczny ideał Żydów i nasunął tę formę myśli, która pozwala nawet Żydom nieprawowiernym zaznaczać swą solidarność rasową i gospodarczą z masami żydowstwa“... „W tych masach było zawsze bardzo silne dążenie, które stanowi istotę syjonizmu; dążenie do wzmocnienia i zaznaczenia swej indywidualności, wybranej, przeznaczonej do panowania nad całym światem“...

Dlatego, gdy rzucone zostały hasła syjonizmu, ogarnęły one nietylko sferę inteligentną żydowską, ale i „ciemne masy pospólstwa żydowskiego“, czyniąc z syjonizmu „ruch masowy, ludowy“, tak dalece, że syjonizm można byłoby nazwać „nacjonalizmem żydowskim, gdyby społeczność żydowska tworzyła istotnie organizm narodowy“.

Ruch ten ma wybitnie polityczne cele, wbrew opinji tych, co skłonni byliby widzieć w nim tylko podłoże ekonomiczne. Żydowska „inteligencja, która

[1]) Patrz „Myśl Narodowa“ Nr. 39 i 40 r. b.

w tym ruchu udział bierze, nie kieruje się dążeniem do poprawy losu tłumów żydowskich" — twierdzł Popławski — „lecz... chce dać wyraz instynktowi rasy, wołającemu o zaciśnięcie węzłów z masą żydowską"...

Za Popławskim możemy ustalić następujące dążenia syjonizmu:

1) Syjonizm jest wyrazem dążeń Żydów „do zapanowania nad społeczeństwami, w których żyją"...

2) „Syjonizm dąży do bezwzględnego zaznaczenia swej indywidualności" czyli tej cechy, którą— „w braku odpowiedniego wyrazu — nazywamy nacjonalizmem żydowskim", a która jest „dążeniem do utrwalenia i wzmocnienia organizacji sekty żydowskiej, tem różnem od podobnych, kilkakrotnie w łonie Izraela powstających, i tem niebezpieczniejszem, że zarazem zmierza do przystosowania tej organizacji do warunków życia społecznego. Taka zaś organizacja z istoty swej musi być wrogą otoczeniu"...

3) Syjonizm jest organizacją obrony żydostwa, jest „wyrazem tych obaw", zupełnie zresztą „uzasadnionych dotychczasowem doświadczeniem historycznem", że w chwili, w której Żydzi, ufni w swą potęgę materjalną i organizację, oraz pewni ekonomicznej i moralnej zależności od siebie ludności tubylczej, sięgną po władzę nad nią, ludność ta, niezadowolona z zależności ekonomicznej i pełna niechęci, podsycanej coraz bezwzględniejszem postępowaniem Żydów, wybuchnie otwartą nieprzyjaźnią i nietylko zastosuje ograniczenia prawne do krajowych cudzoziemców, ale każe im równie odczuć „wybuchy nienawiści ludowej", poczem nastąpi „wywłaszczenie i wypędzenie sekty"...

Te dążności syjonizmu mogą—sądzi Popławski— „przyśpieszyć doraźnie załatwienie sprawy żydowskiej, ale opóźnią jedyne korzystne dla cywilizacji i dla Żydów samych jej rozwiązanie..."

To rozwiązanie widzi Popławski nie w dążeniu syjonistów do przeniesienia Żydów do Palestyny, bo skoro pomieści się tam ich jakaś $^1/_{10}$ — to „plany palestyńskie" uważane być muszą tylko za parawan, ale w przenoszeniu Żydów „wogóle do azjatyckiej ojczyzny sekty"... Uzasadnia swoje stanowisko Popławski tem, że nawet między Żydami, „umysły bystrzejsze i krytyczniejsze... dochodzą do przekonania, że w ustroju społeczeństw europejskich niema miejsca dla czysto azjatyckiej koncepcji sekty—narodu; w Azji natomiast do dziś dnia takie organizacje istnieją (Druzowie, Nazary, Wahabici, Gwebrowie)"...

Przeniesienie Żydów do Azji uważa Popławski za „bardzo pożądane zarówno dla Żydów, jak dla społeczeństw, wśród których żyją; zwłaszcza zaś dla naszego". Ale „to są plany fantastyczne" — konkluduje Popławski — biorąc całokształt stosunków pod uwagę.

„Zresztą, gdyby sekcie żydowskiej dziś, jak ongi za czasów perskich, udało się stworzyć w Palestynie organizację narodowo-państwową" — mówi — „ta organizacja wywierałaby niewątpliwie wpływ równie szkodliwy, jak niegdyś prawowierni judejscy na kolonje żydowskie w diasporze".

Polska jest, niestety, jedną z kolonij w „diasporze", bodaj dla Żydów najważniejszą, bo najliczniejszą; musiały więc z jednej strony czynniki kierownicze żydowstwa światowego zwrócić szczególną uwagę na organizowanie Żydów w Polsce, a z drugiej — musiało i społeczeństwo polskie, mimo lekkomyślną niezaradność swoją i wysoce szkodliwą „postępowość" w sprawie żydowskiej pewnych kół opinji polskiej — zwrócić uwagę na wychylające się nagle niebezpieczeństwo żydowskie i pomyśleć o obronie przed niem, czyli wszcząć ruch, antysemickim nazwany, bo antysemityzm jest obroną napadniętego przez Żydów — semitów narodu.

Ten ściły związek t. zw. antysemityzmu ze syjonizmem jasno sformułował Popławski, mówiąc, że „antysemityzm i syjonizm wyrosły z jednego pnia, mówiąc dokładniej — z tej samej kategorji faktów życiowych"... przyczem „syjonizm nie jest następstwem antysemityzmu, ale go wyprzedza. Bo, przecie" — mówi Popławski—„nim właściwy syjonizm powstał, mieliśmy już *Alliance Israélite Universelle* i powszechną, a zarazem żydowską organizację masońską, i plany Montefiorego i Rotszyldów. I dopiero potem zjawił się już świadomy prąd społeczny — antysemityzm"...

Podkreślić tu należy tak wyraźnie zaznaczoną przez Popławskiego łączność między syjonizmem, a więc rdzennie żydowskim ruchem, o własnych państwowych dążeniach, a „światową, a zarazem żydowską organizacją masońską"; jest to dlatego ważne, że zazwyczaj ulegamy błędowi kojarzenia życia żydowskiego wyłącznie z „doktryną sekciarską", z motywami religijnemi, na co sami Żydzi gorliwie właśnie zwracają uwagę obcym, i co się przejawiło w powszechnem identyfikowaniu żydowstwa tylko z „wyznaniem mojżeszowem", ze Starym Testamentem, przeciwstawianym Nowemu t. j. chrześcijaństwu, co zresztą samo w sobie stanowi już zjawisko polityczne.

Popławski rozumie, że religja jest tylko jedną ze stron życia i działania żydowstwa, stroną zewnętrzną, cementującą niejako „członków sekty" i osłaniającą istotne t. j. polityczne cele żydowstwa, owe „plany Montefiorego i Rotszyldów", przeprowadzone przy pomocy organizacji masońskiej, łączącej obok Żydów także i nieżydów, „gojów", co właśnie ułatwiać musi Żydom stopniowe opanowywanie świata „czcicieli krzyża",co jest, jak to wiele razy podkreślił Popławski, właściwym celem żydostwa, zarówno religijnym, jak i politycznym; religijnym dla najszerszych mas żydowstwa, politycznym dla kierowników, dla Montefiorich i Rotszyldów.

Obie te cechy, religijna i polityczna, są zachowane również w masonerji, jednej z filij mocarstwa anonimowego; przyczem kierunek religijno-humanitarny masonerji tak samo jest przeciwny właśnie tylko chrześcijaństwu, jak i żydowskie „mojżeszowe" wyznanie, a kierownictwo polityczne równie starannie się ukrywa, jak ukrywało się i ukrywa — polityczne kierownictwo Żydów.

Antysemityzm, jako obrona napadniętych, nie mógł być miły Żydom, to też starali się oni z wielką wrzawą wytłumaczyć go, jako krwiożerczy napad „wstecznictwa, ekskluzywizmu i nietolerancji" na bogobojne żydowstwo.

Popławski występuje ostro przeciw tym próbom. Jeśli chodzi o Żydów, odmawia prawa zabierania głosu w tej sprawie najpierw syjonistom, bo „dla pierwszych syjonistów" — mówi — „antysemityzm był tylko argumentem polemicznym"; „zasłaniali się nim oni tylko"... Ale również i opinje Żydów zasymilowanych uderzają Popławskiego swoją „naiwnością i szablonowością"; asymilowani nie wglądają „wcale w przyczyny antysemityzmu" — mówi on — albo „załatwiają się z tą sprawą wprost śmiesznym komunałem, że antysemityzm jest wynikiem rozpanoszenia się wstecznictwa".

Śmieszny komunał podzielali, niestety, i liczni, szczególniej „postępowi" aryjczycy, wyprowadzający, równie jak Żydzi, syjonizm z antysemizmu t. j. przedstawiający ruch żydowski, organizowany dla opanowania kraju obcego, jako obronę przed napaścią społeczeństwa zdobywanego właśnie kraju.

Tym odpowiadał Popławski, że główny argument ich, jakoby „powodzenie propagandy syjonistycznej

wśród inteligencji żydowskiej należało przypisać szerzeniu się prądu antysemickiego, dlatego nie wytrzymuje krytyki, ponieważ z jednej strony antysemityzm, z jakim masa żydowska bezpośrednio się spotyka, zawsze istniał w społeczeństwie naszem, nawet w epoce najbujniejszego rozkwitu dążeń asymilacyjnych“... a z drugiej „wybuch sekciarskiego fanatyzmu“... „wyprzedza nieraz na znaczny przeciąg czasu prześladowanie Żydów, które, np., w osławionej przez nich Hiszpanji zaczęło się dopiero w końcu XVI w.“...

Popławskiego interesuje właśnie ten szczególny „fakt, że we wszelkich warunkach historycznych... do ostatnich dni... rozbrzmiewają wciąż te same przeciw Żydom zarzuty“, że „antysemici dzisiejsi, mówiąc o Żydach, jako o „sekcie, wrogiej rodzajowi ludzkiemu“, dosłownie powtarzają oskarżenia Tacyta, Juvenalisa i Pliniusza“; że w pewnym okresie współżycia Żydów z ludnością danego kraju wybucha „otwarta nieprzyjaźń“ gospodarzy do złowrogich gości, znajdująca wyraz „w ograniczeniach prawnych i wybuchach nienawiści ludowej“.

Jakżeż wytłumaczyć ten pozornie, szczególniej w ustach kół postępowych „niezrozumiały“ fakt? Popławski odpowiada: skoro wszystkie narody, stykające się z Żydami, od czasów najdawniejszych do naszych — występują w pewnym momencie przeciw Żydom, winni są Żydzi. Dla stwierdzenia tezy mamy rozległy ów obraz, jaki przed nami roztaczył Popławski — obraz powstawania ideologji „sekty żydowskiej“, odrębnej od gospodarzy kraju i „wskutek tego tworzącej jakby samodzielne kolonje“... „Odrębność religijna utrwala tylko odrębność społeczną tych kolonij“ — powiada Popławski — „i ich specjalny charakter gospodarczy, właściwy do dziś dnia Żydom“. I dlatego „to nie warunki historyczne wytwarzają charakter społeczności żydowskiej i jej wyłączność, ale wchodzi ona do historji, jako zorganizowana klasa kupców i pośredników, pochodzeniem swojem, rodzajem zajęć, a zwłaszcza wyłącznością wyznaniową — wyodrębniona od narodów, wśród których przebywa i z których wyzyskiwania, uświęconego doktryną o swojem posłannictwie, żyje“... Narody, mające Żydów za współmieszkańców, nie znając owej doktryny, nakazującej Żydom opanować świat, albo co gorzej, lekceważąc ją — nietylko nie bronią się przed Żydami, ale w pierwszych okresach współżycia pomagają im, w szlachetnem, wspaniałem poczuciu ludzkości, która jest pięknym owocem nauki chrześcijańskiej o wszechbraterstwie. Stopniowo zdobywają Żydzi dla licznych rzesz swoich podstawy materjalne bytu, ogładę europejską i wykształcenie, co pozwala im przeniknąć do wnętrza społeczeństw obcych, zdobyć olbrzymie materjalne zasoby i objąć ważne, często kierownicze stanowiska wśród ufających i niespodziewających się zdrady gospodarzy kraju, aż w końcu „sekta, silna potęgą materjalną i organizacją — ujawnia poczucie swej solidarności i wyższość nad otoczeniem, traktując je lekceważąco i narzucając mu swe przewodnictwo. Równocześnie w społeczeństwie, w którem Żydzi żyją, rośnie niezadowolenie z zależności ekonomicznej od nich i niechęć, która, podsycana coraz bezwzględniejszem ich postępowaniem, przeradza się w otwartą nieprzyjaźń“... co z kolei powoduje w sferach niższych „wybuchy nienawiści“, a w sferach wyższych „ograniczenia prawne“ dla Żydów, jako obronę przed nimi, czyli mamy „narodziny antysemityzmu“, który w takiem oświetleniu nie wygląda, jako żywo, na dziki, niczem nieumotywowany napad na żydowstwo.

Popławski uznaje zresztą, że i ruch antysemicki ze swej strony „wzmaga fanatyzm, bo wciąga społeczność żydowską w walki i naraża ją na prześladowania“... Ale, wzmagając poczucie jedności między Żydami, antysemityzm okazywał się środkiem bardzo cennym i poza swemi bezpośredniemi zadaniami, bo „przyśpieszał“ — mówi Popławski — „uświadomienie w szeregach zewnętrznie zasymilowanej inteligencji żydowskiej“, co dla społeczeństwa polskiego, mogącego się obawiać tylko kryptożydostwa, było rzeczą bardzo pożyteczną.

IGNACY KOZIELEWSKI

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

POŚRÓD wielkiej gromady ludzi, piszących w czasach obecnych wiersze w Polsce, Stanisław Miłaszewski zajmuje stanowisko zupełnie wyjątkowe: jest poetą. Istnieje u nas spory zastęp wierszopisów, dla których rymowanie jest zabawką, są sumienni, pracowici rzemieślnicy, którym wydaje się, że istota piękności zawarta jest w umiejętnem dobieraniu rytmów i dźwięków, metafor i przeciwstawień, jest nakoniec wzrastający wciąż tłum handlarzy (z rasy i z ducha), dla których literatura staje się przedewszystkiem towarem rynkowym, przeznaczonym na sprzedaż, a więc usiłującym przynęcić kupującego przez schlebianie jego upodobaniom, efekciarstwo, reklamę. Stanisława Miłaszewskiego nie można zaliczyć ani do pierwszych, ani do drugich, ani do trzecich: jest poetą rzeczywistym, zatem człowiekiem, który — według pięknego określenia Z. Wasilewskiego — tworzy „wykruszając z siebie duszę“ [1]), tak że okruchy jej na zawsze już pozostają w dziele tworzonem, nadając mu życie własne, przenikając je nie dającym się podrobić urokiem osobowości.

Omawianie twórczości poetyckiej z tego względu też nastręcza ogromne trudności, że wymaga wniknięcia psychologicznego, to zaś z kolei możliwe staje się poprzez ścisły, bezpośredni kontakt duchowy z dziełami poety, patrzenie na nie w świetle osobistych wzruszeń i przeżyć, jakie się im zawdzięcza, z natury rzeczy więc ze stanowiska do pewnego stopnia jednostronnego, podmiotowego. Niemniej wszakże ujęcia podobne mogą nie być pozbawione wartości, dając chociażby tylko świadectwo, w jaki sposób twórczość danego pisarza rozumiana bywała i odczuwana przez współczesnych albo potomnych. Taką próbą uwydatnienia niektórych jedynie rysów indywidualności pisarskiej Stanisława Miłaszewskiego ma być również pobieżny szkic niniejszy, do którego okazję dało ponowne, uzupełnione wydanie „Gestu wewnętrznego“ [2]), pierwszego tomiku wierszy poety, ułatwiające rozejrzenie się w całokształcie dotychczasowej jego twórczości.

*

Kiedy Stanisław Miłaszewski ogłaszał drukiem pierwszy zbiór swych poezyj (r. 1911), p. Antoni Po-

---

[1]) Zygmunt Wasilewski: „Jan Kasprowicz. Zarys wizerunku“ Warszawa. Gebethner i Wolff. Str. 365.

[2]) Stanisław Miłaszewski: „Gest wewnętrzny“, Warszawa, 1929, nakładem księgarni Fr. Hoesicka.

tocki, w wydanej w tymże samym czasie „Polskiej literaturze współczesnej“ zapowiadał tonem uroczystym, iż cechą znamienną nowego, nadchodzącego okresu polskiego piśmiennictwa stanie się „coraz mniejsza służebność literatury u względów utylitarno - społecznych, coraz radykalniejsze wybijanie się całkowitej osi życia w twórczości, więc jak tu odchylanie się od kultu zbiorowości pod kątem kultu osobowości—zbawienne, konieczne, jedyne dla dalszych losów poezji polskiej.[3]) Stanowisko powyższe, w pewnych kółkach literackich podówczas uznawane za ostatni wyraz mądrości, nie było wtedy obce również Miłaszewskiemu[4]) i na pierwszym okresie jego działalności pisarskiej wybiło piętno bardzo wyraźne. Poeta o wrażliwości estetycznej niesłychanie wyostrzonej, wyobraźnią żyjący na pograniczu rzeczywistości i baśni, z niechęcią odnosił się do ciżby ludzkiej, przeszkadzającej mu w marzeniach (wiersz: „Odstąpiona chwila“), dumny czuł się w głębi serca ze swojej „niemocy“, dzięki której zwyczajne, pozbawione fantastyczności życie człowiecze przejmowało go

„smutkiem tak monotonnym, jak domki dróżnika,
które pociąg co wiorsta mija i spotyka,
nim mu się wykoleić nakoniec poszczęści“.

Taka tęsknota za nadzwyczajnością, za „szczęściem wykolejenia się“—to w ostatecznym wyniku nie co innego, aniżeli mniej albo więcej uświadomione „odchylenie się“ od idei ładu, organizującej nietylko wszelką zbiorowość ludzką, ale wogóle świat. Stąd też smutek, melancholja, rodząca się z poczucia własnego osamotnienia, przenikająca nieomal każdy po kolei fragment „Gestu wewnętrznego“.

Niesłychanie charakterystyczna dla ówczesnego stosunku poety do świata jest grupa wierszy pod tyt. „Dzieci“. Miłaszewski nie ukochał w dziecku przyszłego człowieka, jego zachwyca w niem i wprawia w rozrzewnienie to właśnie, iż jest ono czemś jeszcze pozaspołecznem, swobodnem, nie dźwigającem ciężaru obowiązku i odpowiedzialności:

„Jaka szkoda, że święty obowiązek wkrótce
podepce złudne prawa młodzieńczej beztroski,
i wdzięk ich ciąć wam będzie, przy lada robótce,
jak rygor szkolny chłopcom kędzierzawe włoski“.

W tej postawie dobrowolnego samotnika pośród rzeszy, chroniącego się przed prozą życia w kraj wyobraźni, Miłaszewski widzi swoje pokrewieństwo z Don Kiszotem: ona właśnie, ta postawa wobec rzeczywistości „przeszkadza Don Kichotowi wzrastać na obywatela“. Jakże musiała pogłębić się w autorze — artystycznie i moralnie—koncepcja postaci Don Kiszota, jeżeli dzisiaj nietylko nie jest już ona dlań czemś wobec pojęcia „obywatela“ przeciwstawnem, lecz okazuje się najważniejszym budowniczym życia zbiorowego, wcieleniem siły zespalającej idealizmu, nieodzownej dla uratowania społeczeństwa od rozpadu. Wszak to do konającego Don Kiszota[5]) zwraca się najtypowszy przedstawiciel pospolitości, Sanczo Pansa z przejmującem, pełnem rozpaczy wołaniem:

„Obrońco uciśnionych, zmiłuj się nad nami,
Nie umieraj! Bez ciebie do góry nogami
Świat przewrócą nicponie!“

*

Rozwój, pogłębianie się, wzmaganie się siły twórczej w poezji Miłaszewskiego obserwować można łatwo przez zestawienie dwóch jego wierszy o podobnym motywie. Pierwszy — to napisany jeszcze w r. 1909 w Monachjum: „Niepotrzebny kościołek“. Widok zapomnianego jakby wśród gwaru ulicy wielkomiejskiej, smętnego kościołka, zestraja się znakomicie z własnym stanem psychicznym poety, jego smutkiem, melancholją samotnego przez życie wędrowca:

„Barokowych uśmiechów nie mając na zbycie,
winieneś był kościołku schronić się najdalej
od ulic pierwszorzędnych, choć na twym habicie
ludzie afiszy wtedy by nie przyklejali.

Na uboczu, zepchnięty w zaułek ponury,
nie raziłbyś twych murów kolorytem zgrzebnym,
a zapomnianych domostw wielbiłyby chóry
ciebie, żeś jest potrzebny tylko niepotrzebnym“.

Wiersz kończy się okrzykiem pełnym bólu:

„Widzę cię tutaj, w damskich konfekcji pobliżu
i prośba histeryczna z gardła się wydziera:
zabierz, zbyteczna arko poety z Assyżu,
i mnie, com omnibusom był za pasażera“.

O ileż odmienny w nastroju jest wiersz drugi, „Kwitnące miasto“, napisany już po ukazaniu się pierwszego wydania „Gestu wewnętrznego“ i dołączony teraz do wydania nowego. Napozór podobny, tak samo zupełnie rozpoczyna się kontrastem widoku cichego kościołka wobec triumfującej wulgarności miejskiego życia:

„W miasteczku, gdzie fabryczna tandeta niemiecka
z żydowskim handlem żyła w przedziwnej harmonji,
małą wysepkę polską pamiętam od dziecka,
wizerunek przeszłości, blaknący w ustroni.

Półtorej morgi gruntu z iście polskiem piętnem
w pogranicznej mieścinie to nielada dziwo;
więc nowe murowańce w ubraniu odświętnem
wytrzeszczały na klasztor brudnych okien szkliwo“.

Ale tutaj wzruszenie poety inne całkiem nasuwa mu obrazy:

„Jednakże raz do roku, w letnich skwarów porze,
piastowska krew napływa znów w miejskie tętnice.
W bladej Hostji zastygłe drgnęło Ciało Boże
i spłonione, z monstrancji rzuca blask w ulice.

W czerwieni żywych kwiatów gasną martwe znaki,
ołtarz wzrósł tam, gdzie było kupieckie siedlisko,
a w powietrzu chorągwie, niby rajskie ptaki
o barwach zórz zarannych przefruwają nisko.

Zda się, że bruk na rynku ożył, bo się zmienia
w płowe czupryny chłopstwa, w mieszczan łyse pały,
a choć nie brak czół z miedzi na mózgach z kamienia,
mnogie twarze wzruszeniem zakwitły, zadrżały...

Żywy bruk stał się łąką. Lilije-dziewczęta,
chylące się raz po raz przed najświętszem godłem
siejbą róż sławią Boga, że w dzień Swego święta
Ciałem raczył się zjawić w mieście bardzo podłem“.

Różnica odrazu rzuca się w oczy. W pierwszym wypadku rozrzewnia poetę samotny kościołek dlatego właśnie, że jest „zbyteczny“, „potrzebny tylko niepotrzebnym“, że ten kościołek wydaje mu się czemś poza normalnem życiem normalnego społeczeństwa, pośród świata dzisiejszego obcym, paradoksalnym przybłędą. Widzi w nim obraz własnego swojego opuszczenia. W „Kwitnącem mieście“—klasztor „blaknący w ustroni“ okazuje się punktem centralnym, najważniejszym, on jest ośrodkiem, wytwarzającym z mieszkańców miasteczka społeczeństwo rzeczywiste, zespolone tą samą wiarą, tradycją, ideałem, co nie mogłoby dokonywać się przecie przez fakt wspólnego kupowania „tandety niemieckiej“ po żydowskich sklepikach. Miłaszewski wie teraz doskonale, że „poeta z Assyżu“, którego ongiś wzywał „histerycznie“, był w rzeczywistości wielkim organizatorem życia społecznego wtedy nawet, gdy samotnie umartwiał się w pustelni Alverna, organizatorem, przywracającym ład w dziedzinie hierarchji wartości, bez którego wszelka zbiorowość się rozprzęga. I poeta „Gestu wewnętrznego“ czuje się zjednoczony z tym ładem cudownym, co w mieszkańcach lichego

[3]) Antoni Potocki: „Polska literatura współczesna“ tom II, str. 8.

[4]) Cała serja przekładów, zamieszczona w „Geście wewnętrznym“, dedykowana jest „Szanownemu i drogiemu Panu Antoniemu Potockiemu“.

[5]) Stanisław Miłaszewski: „Don Kiszot, fantazja sceniczna według Cervantes'a“, Warszawa 1928, nakł. księgarni Hoesicka.

miasteczka każe odczuć tętno „krwi piastowskiej“, co bruk rynku zamienia w łąkę kwietną, oświeconą słońcem Monstrancji. Brzydotę rzeczy brzydkich, podłość podłych umie odczuć obecnie może jeszcze wyraźniej i dotkliwiej, niż kiedykolwiek. Ale dzisiaj nie spogląda już na nie ze smutkiem bezradnym: pokrzepiony pewnością ujrzanej Prawdy, jest gotowy do walki.

*

Jest conajmniej rzeczą wątpliwą, żeby taki właśnie kierunek rozwoju twórczości poetyckiej Miłaszewskiego można było z powodzeniem wyjaśnić, powołując się tylko na „wpływy literackie“, „prądy ideowe“ i t. d. Czynnikiem rozstrzygającym, wydaje się tutaj to, co możnaby nazwać „d o b r ą r a s ą“, polskość poety tak dalece uderzająca, tak niezaprzeczona, że wybijająca znamię niestarte na każdem nieomal pojedyńczem zdaniu jego pism, na całem bez wyjątku jego dziele. I nie chodzi w tym wypadku głównie o akcenty patrjotyzmu w poszczególnych utworach: motyw tęsknoty za ojczyzną w „Wigilji“ czy w „Sosnach“ (w „Geście wewnętrznym“), albo gotowość powstańczą „Farysa“ [6]). Temat w dziele jest zawsze czemś do pewnego stopnia zewnętrznem i jakże często z „poezyj“ t. zw. „patrjotycznych“ wieje dzisiaj zdaleka już chłodem... obcości...

Ale czego podrobić się nie da, to polskości wewnętrznej, rasowej, objawiającej się w najsłabszym choćby odruchu uczuciowym, w niezawodnej trafności słownictwa, w swoistych, niemożliwych do naśladowania skojarzeniach wyobrażeń. Pod tym względem język Miłaszewskiego — to jeden, najcenniejszy dokument: wywód szlachectwa, którego nawet najbardziej złośliwy wróg poety nie ośmieliłby się naganić. Podziw bierze, jaką krzepką, zamaszystą polszczyzną prowadzą djalog (w przełożonym przez Miłaszewskiego dramacie Zorrilli) sławni zawadjacy-rębacze: Don Juan Tenorio i Don Luis Mechija [7]). Nawet wówczas, kiedy z treści wiersza zieje nuda bywalca wielkomiejskich kawiarni, w bogactwie i barwności języka odczuwa się orzeźwiający wiatr od pól, borów, nieprzebrane zasoby zdrowia duchowego polskiego plemienia, zawarte w polskiej mowie. Nawet wówczas, gdy — zanim jeszcze zaczęła się moda na „urbanizm“ — poeta podejmuje temat z dziedziny techniki („Pieśń słupów telegraficznych“), wyobraźnia nasuwa mu natychmiast porównania typowego ziemianina-szlachcica:

„Bez koron i bez kory patrzymy w strop siny,
jak wówczas, g d y n a s j e s z c z e l i c z o n o n a w ł ó k i.“

O tej polskości wyobraźni Miłaszewskiego możnaby rozpisać się szeroko. Wystarczy przykład: pierwsze zdania monologu Don Kiszota, po jednej z wypraw powracającego do swojego domu w La Mancha:

„Gdzieżem jest? Tak, poznaję: to mój własny dworek!
Świerszczyk gra za kominem, ogień z trzaskiem gore,
Na ścianach cienie sprzętów... Błękitnieją szyby,
Jakby niebo tuż było za oknem sadyby,
Że mógłbym z samem niebem gwarzyć po sąsiedzku...“

Dalej znowu okazuje się, że ów dom Don Kiszota i „s t r z e c h ę... skłania jako piastun przed paniczem“... Toż to wszystko najwierniejszy obraz Polski: i ten „dworek“, i „strzecha“, i trzask ognia płonącego na kominie, i blade, „błękitniejące“ niebo za szybami! W dalekiej Kastylji rzadko zapewne ludzie grzeją się przy kominkach (przeciętna temperatura roczna + 18°), nie kryją dachów domostw swoich poszyciem ze słomy.

Czyż nie w taki sam sposób niegdyś Kochanowski przenosił do Polski Troję, kiedy w „Odprawie posłów greckich“ — „marszałkowie, laskami w ziemię coraz bijąc“, uspokajali podniecenie obradujących?

*

Ów nieomylny instynkt polski również, nie jakiś plan zgóry powzięty, wykreślił zasadniczy kierunek ideowy twórczości Miłaszewskiego, uczynił zeń p i e w c ę c n o t y r y c e r s k i e j. Wydając w r. 1917 tłumaczenie „Epopei rycerskiej“ („Carolinerny“) Heidenstama, zaopatrzył je Miłaszewski następującym dopiskiem:

„Przygotowując przekład polski wszystkich dzieł Wernera v. Heidenstama, przed innemi ogłaszam drukiem te utwory, w których autor uczcił minioną niedolę swej ojczyzny i bohaterstwo narodu“.

Odtąd cała dotychczasowa twórczość poety: tłumaczenie „Carolinerny“, „Don Juan“, „Farys“, „Don Kiszot“ — połączona jest wspólną nicią jednego motywu — rycerskości. W owym kulcie bohaterstwa jednakże niema nic z tak częstej dzisiaj, odgrzewanej symboliki romantycznej, łudzenia się zewnętrznością, dekoracją, pozorem... Wrażliwością poety prawdziwego odczuwa Miłaszewski fałsz pustej frazeologji, szyderczo też przedstawia ją w „Farysie“ przez obnażenie treści „poetyckich“ tęsknot Delfiny. Z dużą dozą praktyczności odpowiada np. Farys Delfinie, proponującej mu „samotne“ cwałowanie we dwójkę przez pustynię — „dokąd duch poniesie“...

„— „Nas samotnych“ na pewno zbójcyby obdarli,
— Tak, pani! — do ostatniej, przepraszam, koszuli“.

Rycerskość — to dla Miłaszewskiego nietyle duch awanturniczości, ile przedewszystkiem dyscyplina moralna. Rycerskość — to przeciwna wszelkiemu chamstwu brutalnemu zasada godności własnej, honoru. Czyż nie brzmi nuta stałej... aktualności w dumie szlachetnej Farysa:

... — Zgiąć kark i zostać wywyższonym za to?
„Żer dla swej pychy kupić swej godności stratą?
Płazem płaszczyć się u nóg, zszedłszy z drogi prawej?
Zniesławiać się kryjomo, aby dojść do sławy?
To obyczaj rycerzy o duszy kramarza,
Przez nich życie skarlało i świat się postarzał!
O d m ł o d z ę g o“.

Swoim instynktem polskim widzi Miłaszewski i rozumie jeden tylko ideał „prawego rycerza“, nieprzerwaną tradycją przekazany nam od średniowiecza poprzez obrońców Częstochowy i Baru: ideał rycerza chrześcijańskiego. Duch rycerski zespala się u poety nierozerwalnie z duchem religijnym, katolickim. Oto wyznanie Don Kiszota:

„I my walczymy, chrześcijanie,
O sławę, lecz wiekuistą!
Nie dla nas, — dla ciebie, Panie,
Na śmierć gotowi — pro Christo!
Nas mierzi sławy ułuda,
Co razem z ziemią przeminie:
My, waląc w proch wielkoluda,
Godzimy w pychę jedynie.
Z zazdrości gadem padalczym
Walczymy wielkodusznością;
Z lenistwem — wytrwaniem walczym,
A z wyuzdaniem — wiernością“.

Stanąwszy *in hoc Signo*, Miłaszewski ostatecznie już wyznaczył swoje miejsce i rolę swoją w literaturze. Wśród rejwachu chwilowych prądów „modnych“, „najnowszych“, wśród straganów dzisiejszej tandety — jest bojownikiem Prawdy ani starej, ani nowej, ale wiecznej. Dlatego właśnie stanie się poetą młodej, zdrowej Polski, która dziś mężnieje i wzrasta.

JAN REMBIELIŃSKI

---

[6]) Stanisław Miłaszewski; „Farys, komedja romantyczna“ Warszawa 1928, nakład Gebethnera i Wolffa.

[7]) José Zorrilla: „Don Juan Tenorio — dramat fantastyczny“, przekład wolny Stanisława Miłaszewskiego, Warszawa 1925, nakład Gebethnera i Wolffa.

LIBERUM VETO

Bardzo surowi u siebie i bardzo łagodni zagranicą. — Automat, grający w szachy.—Niebezpieczne próby.—Dzwonki na szyjach.—Wywóz pieniędzy zagranicę.—Właściwy winowajca.

O ILE w polityce wewnętrznej jesteśmy bardzo surowi, nawet chamscy, o tyle w zagranicznej bardzo grzeczni, niekiedy bardzo pokorni. Gdy na zebraniu dyplomatów Stresemann bije pięścią w stół, p. Zaleski się kłania, a badającym go reporterom oświadcza, że porozumienie zostało osiągnięte. Gdy na konferencji w Hadze przedstawiciela Polski wyłączono od udziału w komisji, decydującej o zabezpieczeniu granic ustalonych przez traktat wersalski, p. Zaleski usiadł skromnie w przedpokoju i czytał nadesłane z Warszawy gazety „sanacyjne", donoszące, że Polska dzięki „mocnym posunięciom naszego ministra" okazała tam cały swój „prestiż". Gdy Briand uznał, że można wycofać wojska z Nadrenji, kiełznające Niemcy w gotowości do zmiany granic wschodnich „drogą pokojową", p. Zaleski uspokoił nas, że „korytarzowi" nic nie grozi i że jest mocno obmurowany. Gdy Niemcy sto razy zerwały układy handlowe, sto razy ogłoszono urzędownie, że porozumienie dobiega szczęśliwie do końca. Gdy Waldemaras kłamie, spotwarza, wnosi do Ligi Narodów coraz nowe, fałszywe oskarżenia przeciw Polsce, a jednocześnie urządza napady pograniczne, podejmowane są próby osiągnięcia „prawidłowych stosunków" z Litwą. Gdy Sowiety rozstrzeliwają Polaków już nie za winy, ale za podejrzenia, wyprawiając jednocześnie agitatorów, którzy podminowują państwo polskie i żądają wypędzenia z niego emigrantów rosyjskich, przesyłamy im przez p. Patka pudełka cukierków dyplomatycznych. Słowem, w polityce zagranicznej jesteśmy grzeczni, słodcy, uśmiechnięci i do wszelkich ustępstw gotowi. Czy jednakże ta skromna elegancja jest wyłączną zasługą miękkiego i dobrze wychowanego p. Zaleskiego? Chyba nie. W podręcznikach szachowych podawane są partje, rozgrywane przez automat zwany „Mefisto", którego posunięciami kieruje gracz ukryty. Otóż czy p. Zaleski nie jest takim „Mefistem" o tyle różnym od szachowego, że ten wszystkie partje wygrywał, a nasz poczciwy minister przegrywa. Przypuszczenie to nasuwa się ze wspomnienia o pewnym publicznie zastrzeżonym, nigdzie na świecie nieznanym przywileju innego ministra do oddziaływania na naszą politykę zagraniczną. Imiennik p. Zaleskiego, znakomity poeta śpiewał: „U nas inaczej, inaczej".

I w polityce wewnętrznej inaczej. Niechno ktoś nie opłaci podatku, przekraczającego jego możność, niech nie pomaluje domu, niech spróbuje bronić się rowolwerem od napadu umundurowanego, niech się upomni o krzywdę rodziny niewinnie zabitego lub tajemniczo zaginionego, niech się narazi staroście, niech oskarży „sanacyjnego" łapownika lub trwoniciela funduszów publicznych, zobaczy „silną rękę". Chociaż „sanatorowie" mają skuteczne sposoby otwierania sobie wszystkich, najszczelniej zamkniętych drzwi, rozpruwania kas z pieniędzmi bez użycia „raka", nakazywania posłuszeństwa i sprawowania władzy bez władzy, jednakże radziby pozbyć się nawet małego trudu zginania głów tłumu przed swą niezależną od wszelkich praw mocą. Dlatego proponuję, ażeby zawieszali sobie jak korony na szyjach klekotki lub dzwonki, któreby odrazu uprzedzały ludzi, kto się do nich zbliża, przed kim powinni się korzyć, nie stawiać oporu i śpiewać „pierwszą brygadę". Dzwonki te mogłyby się nazywać czarodziejskiem imieniem, którym ochrzczono tysiąc ulic, placów, instytucyj publicznych i które wyruguje z nomeklatury naszych urządzeń wszystkie inne miana. Jeżeli musiał mu ustąpić nawet Mickiewicz, to przecież chyba mniejsi od niego nie mogą mieć pretensji do pozostania. Z czasem zapewne i cała Polska będzie inaczej przezwana. Naród się zgodzi, nie zaprotestuje, chociażby mu nakazano liczyć nową erę nie od narodzenia Chrystusa, ale innego zbawiciela. On jest tak grzeczny, jak pan Zaleski, można z nim zrobić, co się podoba. Przecie to jest gromada „idjotów".

Ponieważ wydano hasło oszczędności, poświęcono dla uczenia jej osobne dni propagandowe, wykłady i t. z. „akademje" (o ten tytuł upomną się niedługo nożowcy załatwiający swoje „porachunki osobiste"), przeto według urzędu paszportowego wyjechało w tym roku zagranicę 13,000 osób, które wywiozły z kraju około 19,000,000 złotych. Ile w tej sumie przypada na ministrów i ich sekretarki, nie wykazano, w każdym razie musiał być ten procent niemały, zważywszy, że do Biarritz daleko a pobyt tam bardzo drogi. Na przyszły rok mamy wskazane miejsce tanich wywczasów letnich na granicy Francji i Hiszpanji. Oby tylko układacze budżetu państwowego nie zapomnieli wstawić odpowiednich sum do „funduszów dyspozycyjnych" i wydatków na samochody ministerjalne, wytrzymałych na długą podróż. Wy wszyscy twórcy cudów techniki, dumni ze swych dzieł, czemże wy jesteście wobec bezimiennego, a genjalnego wynalazcy funduszów dyspozycyjnych, których szafarze nie potrzebują nikomu składać rachunków i mają prawo zamykać swoje księgi przed ciekawością Najwyższej Izby Kontroli. Ciesz się, najuboższy płatniku podatkowy, ze swego zaszczytu zasilania tej czystej krynicy!

Właściwie oskarżając rząd o rozmaite nieprawidłowości, popełnimy błąd obciążania odpowiedzialnością skutków, gdy naprawdę winne są przyczyny. Nie byłoby tej ogromnej sumy złego, która zebrała się w ciągu trzech ostatnich lat, gdyby większość sejmowa czuła tę godność i władzę, którą jej nadaje wola narodu. Od pierwszej chwili po przewrocie majowym sejm gra rolę mizerną, lękliwą, poddańczą. Uprawnił przewrót, udzielił pełnomocnictw, pozwolił na rozwiązywanie go po paru godzinach i na przerywanie jego obrad w najważniejszych momentach. Jedynym objawem jego energji i powagi było oskarżenie ministra skarbu. Gdy obecnie Stronnictwo Narodowe wystąpiło z żądaniem zwołania nadzwyczajnej sesji sejmowej dla dokonania prac pilnych, nie znalazło odpowiedniego poparcia w innych partjach i usłyszało taką motywację odmowy, na jaką zdobyć się mogły tylko małe żaki, nie chcąc przyłączyć się do protestu przeciw dyrektorowi z obawy przed wydaleniem ze szkoły. „Na co się przyda sesja nadzwyczajna, jeżeli sejm może być po kilku minutach rozwiązany". Taką hardość i męstwo okazał jeden z burzycieli starego świata i twórców nowego. Ci nietykalni przedstawiciele narodu mają odwagę oprzeć się policjantowi, chcącemu ich aresztować, umieją zwymyślać konduktora kolei, niepozwalającego ich żonom jechać w wagonie wyższej klasy, niż wykupiony przez nie bilet, wogóle zasłaniać się kartą poselską wobec słabszych dla osobistej korzyści i wygody, ale wobec silniejszych „serce opada im w spodnie" — jak mówią Niemcy. Byłby jeden sposób dodania tym bohaterom odwagi: skasować djetę poselską podczas przerw sejmowych. O, wtedy dopominaliby się o częste zwoływanie sesyj, wtedy wszyscy podpisywaliby podania do prezydenta, wtedy nie zapominaliby, że w każdym z nich tkwi część najwyższej władzy, woli narodu, wtedy może powiedzieliby najdespotyczniejszym

ministrom: od wydawania praw jesteśmy my, a od wykonywania wy. Ludzi małych nie można przekonać odwoływaniem się do ich rozumu, serca, obowiązku, sumienia, honoru, wystarczy przedziurawić im kieszeń.

Naszem nieszczęściem nie są ani klerykali, ani socjaliści, komuniści, konserwatyści i inne gatunki polityczno-społeczne, ale ludzie mali w jakiejkolwiek odmianie, a oni stanowią w sejmie większość. Dokonywane u nas bezprawia, gwałty, nadużycia, niekarane występki nie sięgają jeszcze do ostatecznych granic samowoli i ci, którzy ich się dopuszczają, mogliby ją posunąć jeszcze dalej pod takiem ciałem „suwerenów". Nie dojdziemy może nigdy do tego stosunku między rządem a parlamentem i narodem, jaki istnieje w Anglji, gdzie naród upostaciowany w parlamencie jest we wszystkich sprawach instancją najwyższą. Ale jeżeli chcemy nadać powagę ciału ustawodawczemu i ująć organy wykonawcze w karby posłuszeństwa, uniemożliwić idjotyczne kulty jednostkowe, znieść panowanie osób i wprowadzić panowanie prawa, budźmy w społeczeństwie świadomość jego siły, władzy i odpowiedzialności za wszystko, co się dzieje. Wtedy zamknie się droga na wyżyny dla ludzi małych, którzy się głównymi sprawcami naszej politycznej niemocy, gospodarczej nędzy i moralnej niewoli.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

OBCE AGENTURY

KTO chce poznać właściwy podkład polityczny „sanacji", niech czytuje „Kurjera Wileńskiego", specjalnie poświęconego kultowi min. Piłsudskiego, „regjonalizmowi" Wileńszczyzny i t. p. W nr. 211 czytamy tam artykuł wstępny, pisany przez Benedykta Hertza o roli Wilna, z otwartą propagandą przyjaźni dla Niemiec. Już w czasie okupacji — powiada p. Hertz — można było zaobserwować objawy, które „Warszawie bynajmniej zaszczytu nie przyniosły". Gniewano się tam na Niemców za to, że „wprowadzili do rozmaitych dziedzin życia nowoczesne, europejskie porządki".

„Kurjer Wileński" piórem Hertza gromi społeczeństwo polskie, że „i teraz również irytują nas Niemcy". Motywy są „kompromitujące". Np. lot Zeppelina — „czyn niewątpliwie wspaniały" — wywołuje złośliwe uwagi, zwłaszcza gniewa Polaków „dojście do skutku umowy Ecknera z finansistami amerykańskiemi".

„Projekt ten, niemniej jak zamiar ulokowania w Berlinie centrali banku międzynarodowego — zamiast bezpłodnych dąsów — powinienby w nas obudzić podziw dla żywotności i ambicji tego dzielnego narodu. Powalony, zdeklasowany, nie traci on energji; nie mogąc zaś odzyskać stanowiska dawnego śród ludów europejskich, nie opuszcza rąk, ale stara się znaleźć dla siebie jakąś nową wybitną rolę".

Zapewne podziw budzi w p. Hertzu, że ten „dzielny naród" szuka sobie roli na naszem Pomorzu...

P. Hertz zachwyca się też Wiedniem — „czerwonym Wiedniem".

„Zdaje się, że nie będę zbyt daleki od prawdy, jeżeli wyrażę mniemanie, iż Wiedeń staje się dziś najgroźniejszym rywalem Moskwy i że w tej walce będzie miał po swojej stronie sympatje całej demokratycznej i kulturalnej Europy".

A cóż Wilno? Czy ono myśli o „wynalezieniu sobie nowych zadań"? Wilno musi zrobić coś takiego jak Wiedeń, inaczej p. Hertzowi będzie przykro mieszkać w Wilnie.

„To niepoddawanie się losowi, jakie znamionuje dzisiejszy Wiedeń, szczególne refleksje powinnoby obudzić w Wilnie. Dola tych dwu miast uderzająco jest podobna. Głowy bez tułowiu".

Wilno — zdaniem p. Hertza — doskonale nadaje się do kompromisów narodowościowych.

„Tu znaleźć może zrozumienie i Litwin i Białorusin i Niemiec i Żyd"...

Z Wilna możnaby zrobić *fein* stolicę. Jest interes i faktor jest. Rzućmy okiem wstecz na dzieje Polski, czy były takie czasy, żeby Żydzi trudzili się sporządzaniem dla niej programów politycznych, nicowaniem jej ustroju, żeby jawnie nauczali nas miłości obcych a wrogich potęg i gromili Polskę za zły do Niemców stosunek?

Takie rzeczy możliwe się stały za czasów „sanacji", kiedy do „szyku" należy poniewieranie Polską. Dlaczego jednak p. Hertz nie zajmie się losem swojej ojczyzny w arabskiej Palestynie? Możeby tam wymyślił jaki interes kompromisowy?

ZMARLI

JAN HARUSEWICZ

ZMARŁ, okrywając żałobą polskie społeczeństwo, jeden z najwybitniejszych działaczy narodowych i politycznych w dobie rozstrzygającej walki o niepodległość Polski: Jan Harusewicz. Zmarł w Warszawie, przybywszy tutaj na kurację po długiej chorobie z Ostrowi Mazowieckiej, gdzie był od młodych lat lekarzem.

Należał do tej plejady lekarzy, którzy poza chorymi ludźmi, leczyli ginący naród, a dane mu było należeć do tych, którzy naród ocalili. Było ich kilku rówieśnych lekarzy z uniwersytetu warszawskiego: on, Zbigniew Paderewski, Leon Rutkowski, Antoni Troczewski, wszyscy dziś nieżyjący, którzy wzorem swych starszych poprzedników: Chałubińskiego, Matlakowskiego, Biegańskiego i in. rozszerzali swą działalność daleko poza granice medycyny, aby służyć społeczeństwu. Inne to jednak już było pokolenie. Za ich czasów praca narodowa już się skonkretyzowała, skupiając się w bezpośrednim celu politycznym odzyskania niepodległości. Należeli do zwartych kadrów bojowników o wolność.

Pomienione grono lekarzy i Chełchowski, który stanowił jakby łącznik między nimi a owem starszem pokoleniem lekarzy, wszyscy synowie ziemi Mazowieckiej z uporczywością właściwą krwi mazurskiej krzewili kulturę jako działacze oświatowi, a motorem ich pracy i światłem była wielka idea wszechpolskości i niepodległości.

Jan Harusewicz, urodzony w r. 1863 w ziemi Łomżyńskiej, w latach 1882—87 studjował na uniwersytecie warszawskim medycynę. Były to czasy, kiedy młodzież organizować się zaczęła, wśród odruchów protestu, niemal samorzutnie wskutek ucisku politycznego, jaki na nią i na kraj wywierały rządy Apuchtina. Za niego skończył się okres bezwzględnej uległości i zaczęły się „bunty". Młodzież warszawska zorganizowała się w t. zw. delegacje, które zajęły się sprawą protestów i opieką nad aresztowanymi i wydalonymi. Wtedy to stała się zrozumiałą myśl, że ogólna organizacja, choćby poufna, nie wystarczy. W r. 1886 (oto wtedy, kiedy zaczął się „Głos") powstała myśl zwołania przedstawicieli młodzieży pa-

trjotycznej wszystkich uniwersytetów, gdzie byli Polacy, na zjazd w celu utworzenia organizacji zakonspirowanej. Ideę tę narzucił i zrealizował Zygmunt Balicki z Genewy. W styczniu 1887 r. w Krakowie odbyło się spotkanie z Balickim. Delegatami z Warszawy byli: Ludwik Kochanowski (Homer), Stan. Kośmiński („biskup"), Stefan Surzycki (obecny profesor w Krakowie) i Jan Harusewicz. Ten ostatni był przedstawicielem t. zw. „Koła Katologowego".

Koło katologowe stało dotąd na uboczu od reprezentacji uniwersyteckiej politycznej, było ustrojem pracy intelektualnej. Barwy czerwonej, składało się z radykałów, wierzących w odrodzenie przez myśl naukową. Należeli tam ludzie światli, logiczni, wiele czytający. Propagowali naukę wśród młodzieży, wierzyli, że intensywność postępu umysłowego będzie zależała od dobrego doboru książek. Pierwszą więc rzeczą (i zdaje się ostatnią) miało być sformowanie ścisłego katalogu. Harusewicz, Dąbrowski, Sacewicz i in. stworzyli sprzysiężenie prohibicyjne na książki złe; Koło stało się rodzajem akademji, gdzie czytano, dyskutowano i protokułowano oceny książek.

Zjazd krakowski otworzył Harusewiczowi oczy na szersze pole działania. Nie czas płakać róż, gdy lasy płoną. Powstała wtedy organizacja tajna: „Związek Młodzieży Polskiej", zwany krótko „Zetem". Związek pomyślany był w trzech kondygnacjach: 1) kolegów, 2) towarzyszy, 3) braci. Harusewicz, należał do braci i wszedł do centralizacji. Od tej chwili, przełomowej w życiu młodej inteligencji i przełomowej dla niego, zaczęła się prosta linja jego działalności, nawet losu. W tymże roku 1887 powstała na emigracji Liga Polska, którą jednak przy pomocy nowych działaczy krajowych z Zetu w r. 1893 zlikwidowano i założono Ligę Narodową. Była to już odtąd robota warszawska, w której ujawniły się siły i talenty twórcze rasy mazurskiej.

Harusewicz na wiosnę 1887 przybył do Petersburga i tutaj założył Koło Zetu. Wtedy go poznałem. Z żyjących pamiętam Bolesława Motza, jako zetowca petersburskiego; był tam (zmarły już) Tomasz Ruśkiewicz, który w r. 1926 w broszurze „Tajny Związek Młodzieży Polskiej" opisał procesy zetowców i więzienia (między innymi Dmowskiego).

Związek młodzieży dostarczał ludzi Lidze Narodowej, a był tak dobrą szkołą działalności politycznej, że wkrótce, gdy przyszło do reprentowania Królestwa Polskiego w Dumie, znaleźli się w tem gronie posłów prawie sami jej wychowańcy. Harusewicz stał zawsze na czele reprezentacji, był prezesem Koła Polskiego, dopóki nie wszedł do niego Dmowski, a w czasie wojny, gdy Dmowski był zagranicą, tego Koła leaderem. Harusewicz, St. Chełchowski, Wł. Grabski, Gościcki, Dmowski, ci z Mazowsza, dawali pracy Koła ciągłość, celowość i wytrwałość.

Bardzo ciężką i odpowiedzialną rolę wypadło Kołu spełniać w czasie wojny. Harusewicz był jednocześnie członkiem Komitetu Narodowego, który uzgodniał swoją na wschodzie działalność ze stanowiskiem Dmowskiego w Londynie i Paryżu—Harusewicz szedł w ogień drażliwych niezmiernie dyskusyj dumskich, aby na każdym kroku akcentować dążenia polskie w sposób nie drażniący Rosji, a jednak stanowczy. Przypomnijmy, że wpływowi kadeci, podając się za przyjaciół Polaków, podsuwali rządowi projekt autonomji, którego Koło uznać nie mogło, a ten projekt określał rzekomo *maximum* nadziei polskich.

Przypomnijmy taki moment w lutym 1916 roku, kiedy w Dumie zjawił się car i z jego woli premjer Stiurmer, oraz minister Sazonow złożyli oświadczenie w sprawie polskiej: „obowiązkiem jest naszym najrychlejsze urzeczywistnienie wszystkich zasad zjednoczenia narodowego Polski". Harusewicz złożył w imieniu Polaków historyczną deklarację, w której kładąc kropkę nad i, zaznaczył, że „Polska zgodnie z całą swoją odwieczną przeszłością i w myśl swojej misji historycznej, czekającej ją w przyszłości, stanęła w obozie tych, którzy walczą o prawo samodzielnego bytu narodów".

Przypomnijmy takie drażliwe momenty, jak ten w sierpniu 1916 r., kiedy dzienniki rosyjskie z prowokacyjną złośliwością w interwiewach badały Harusewicza, co myśli o wystąpieniach Polski po stronie państw centralnych: z jaką godnością stanął w obronie wszystkich poczynań polskich i z jakim taktem potrafił wyperswadować Rosjanom, że sprawa polska nie jest już w ręku wyłącznie rosyjskiem i że musi być rozwiązana jako zagadnienie międzynarodowe.

Położenie reprezentacji polskiej w Rosji stawało się coraz cięższe w miarę padania sił rosyjskich, bo górę brały organizacje germanofilskie z polskimi demokratami (Lednickim) na czele, które podkopywały polskie stanowisko w koalicji. Po wybuchu rewolucji ci Polacy domagali się, aby posłowie polscy złożyli mandaty i odsunięci byli od wszelkich wpływów, jako ludzie, którzy opierali się na zapewnieniach cara.

Harusewicz jako członek późniejszej Rady Międzypartyjnej, gdy w Paryżu powstał Komitet Narodowy, wydobył się z Rosji do Finlandji i tam spędził lata 1918 — 1919 w roli reprezentanta Komitetu Narodowego.

Od chwili, kiedy wyjechał z rodziną 1915 r. do Petersburga, nie zaglądał do domu swojego w Ostrowi. Niemcy gospodarowali tam, jak u siebie, rabując mienie swego wroga zawziętego. A gdy wrócił z rodziną (z żoną, córką i synem) w r. 1920, w parę dni uchodzić z nią musiał przed bolszewikami, którzy dom jego zajęli.

Ze służby tedy publicznej w ciągu lat 15 wyszedł zrujnowany materjalnie. Utracił wszystkie zasoby, jakie zdobył w zawodzie jako wzięty lekarz. Ale co gorsza, utracił zdrowie. Odtąd chorzał, a chorując, dom dawny odtwarzał, na co trzeba było wrócić do praktyki lekarskiej. A to już szło ciężko.

Nie mógł już żyć poza polem politycznem. I potrzebny tu był. Więc stanął do służby w sejmie, wybrany w r. 1922.

Nie było już sił stawać do sejmu, który teraz jest czynny. Umierał po trochu, z całą świadomością lekarza; umierał jednak ze świadomością sumienia obywatelskiego, że za życie swoje dobrze zapłacił.

Umierał z przepracowania. Nie było w nim cząstki, któraby nie pracowała: i mózg, i serce, a zwłaszcza sumienie, gdzie najsubtelniejszy organ człowieka publicznego—poczucie odpowiedzialności—wszystko w nim całe życie pracowało. Czego nie domęczyła polityka, to dokończyła praktyka lekarska.

Tak więc, gdziekolwiek początek, koniec jeden. Ale gdy dobry początek, gdy życie dobrze założone, to śmierć przekaże imię w historji, pamięci potomnych.

Czy wyczerpany byłby żywot Harusewicza, gdyby ściśle był prywatny? Gdyby nie poszedł przez Koło Katalogowe, przez Zet, przez zmagania w falach losu narodowego? Przez swój udział w życiu publicznem, przez uczciwe oddanie sił na sprawę narodową, Harusewicz poszerzył swoją indywidualność, a nazwisko jego na pomniku wolności narodu żyć będzie wiecznie.

Z. W.

JÓZEF KALLENBACH

ZMARŁY w d. 12 b. m. w Krakowie Józef Kallenbach, profesor literatury na uniw. Jagiellońskim, urodził się w Kamieńcu Podolskim 24 listopada 1861 r. Nauki pobierał w Stanisławowie, Tarnopolu i Lwowie. Wydział filozoficzny skończył w Krakowie w r. 1884. Wysłany jako stypendysta do Lipska, Monachjum i Paryża, po dwu latach powrócił do kraju i stąd przy boku St. Smolki udał się z ekspedycją naukową do Rzymu, gdzie pracował w archiwum watykańskiem nad materjałami do czasów Stefana Batorego. W r. 1887-ym został bibljotekarzem Akademji Umiejętności i docentem literatury na uniwersytecie Jagiellońskim, a w dwa lata później profesorem literatur słowiańskich we Fryburgu Szwajcarskim. Tam ożenił się. W r. 1893 został członkiem koresp. Akademji krakowskiej.

Około r. 1900 przeniósł się na katedrę literatury polskiej do Lwowa. Tutaj należał do założycieli Tow. Literackiego im. Mickiewicza, którego był prezesem także. Po wojnie przeniósł się do Warszawy, wykładał krótko w Wilnie, a od 1920 w Krakowie. W Warszawie był bibljotekarzem w zbiorach hr. Krasińskich, w Krakowie dyrektorem muzeum ks. Czartoryskich.

Oprócz wielu drobnych prac zostawił po sobie dwa większe dzieła: monografję dwutomową o Mickiewiczu (trzy wydania) i dzieło o Krasińskim. Z tytułu stanowisk, które zajmował i dzięki swej zabiegliwości towarzyskiej, w czasach kiedy studja nad literaturą XIX w. leżały jeszcze odłogiem, miał sposobność pierwszy uzyskać dostęp do archiwów. Stąd jego prace o Mickiewiczu i Krasińskim. Te odkrycia archiwalne robiły mu rozgłos i dawały nieprzebrany materjał do studjów, które po nim inni prowadzić będą, uzupełniając i korygując jego pierwsze rzuty.

Miał łatwość opisu archiwalnych bogactw i popularność wykładu. Najsłabszem bodaj miejscem jego konstrukcyj literackich była zupełna niewrażliwość na związek, jaki zachodzi między literaturą a życiem.

Zdarzenia dziejowe, których się stawał mimowolnym świadkiem, jak wielka wojna, dziwiły go, że wogóle istnieje coś poza literaturą. Po wybuchu wojny miał za złe ludziom oświeconym, że zajmować chcą jakieś stanowisko czynne w stosunku do wypadków. Propagował też w artykułach opinję, że patrjota ma tylko jedno do zrobienia dla siebie i dla kraju — wczytywać się w wielką poezję romantyczną. Tam znajdzie otuchę i wskazówkę. Miał oczywiście na myśli nastawienie ówczesnej myśli politycznej, znajdującej bojowy wyraz u poetów zaboru rosyjskiego, a innego wyjścia dla Polski nie widział.

Jako filolog i pedagog położył niemałe zasługi.

Z. W.

WYCHOWANIE NARODOWE

O „BEZPŁATNY UNIWERSYTET“

Z powodu ogłoszonego do dyskusji artykułu p. Jana Zamorskiego w Nr. 37 „Myśli Narodowej“ otrzymujemy następujące uwagi:

NIE wszystkie uwagi p. Jana Zamorskiego o uniwersytetach wydają mi się słuszne.

Słusznie podnosi autor, że za wielkie opłaty muszą ponosić studenci wyższych uczelni, szczególnie za egzaminy. Sądzę jednakże, iż wprowadzający te taksy egzaminacyjne mieli zamiar powściągnąć nieprzygotowanych często studentów od zbyt pochopnego składania egzaminów. Za jeden egzamin np. na wydziale matematyczno-przyrodniczym płaci się 14,40 zł., a jest ich w ciągu studjów około 10. Komisja egzaminacyjna ponadto zwraca opłaty tym słuchaczom, którzy złożyli egzamin na „dobrze“ lub „bardzo dobrze“. Jeśli zaś chodzi o opłaty za naukę (to zn. czesne), które np. na wydziale humanistycznym wynoszą 109 zł. rocznie — praktykuje się zwalnianie od nich niezamożnych lub też odracza uiszczenia na kilka lat. Nie jest więc z nimi tak źle.

P. Zamorski pisze, że „przez dzisiejsze urządzenie uniwersytet przestaje być środowiskiem, pomnażającem i szerzącem naukę, a staje się zbiorowiskiem szkół fachowych czy zawodowych“. Ma tu rację autor, ale tylko w odniesieniu do wydziałów: lekarskiego, weterynaryjnego czy farmaceutycznego.

Inaczej z wydziałami humanistycznym czy matematyczno-przyrodniczym, z czego autor nie całkiem zdaje sobie sprawę, pisząc:

„W Polsce przez wprowadzenie magisterstwa (raczej magisterjum) zamieniono i ten fakultet (dawny filozoficzny, który dziś rozpadł się na dwa wydziały: humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy) na pospolite seminarjum dla nauczycieli, bez troszczenia się o ich wykształcenie ogólne“.

Jest właśnie przeciwnie: te dwa wydziały, w których najczęściej grupują się nauczyciele szkół średnich, kształcą tylko w kierunku naukowym, nie bacząc zupełnie na przyszły nauczycielski zawód słuchacza, co studjujący pojmują już od samego początku pracy uniwersyteckiej.

Pedagogowie niektórzy domagają się reorganizacji tych wydziałów w kierunku utworzenia seminarjów dla nauczycieli szkół średnich, a sprawa ta wymaga gruntownego przemyślenia.

I dalej pisze autor:

„opłaty każą liczącemu się z groszem studentowi wybierać tylko te wykłady, jakie są konieczne dla jego fachu“.

Znowu: nie. Za wykłady nic sie nie płaci, w czesnem niema takiej pozycji, student więc może słuchać ich od godz. 8 rano do 9 wieczorem!

Przypuszczenie p. Zamorskiego jakoby student zdający początki greki miał się jej koniecznie uczyć z podręczników, bo „profesor klasyk nie wykłada corocznie tych właśnie początków potrzebnych studentowi“—jest zgoła mylne: zapomina on, że są t. zw. lektorzy na uniwersytetach, którzy corocznie prowadzą nauczanie obcych języków i od nich to można nauczyć się zawsze greki czy japońskiego, a na ich lektoraty wstęp studentom wszystkich wydziałów zawsze dozwolony.

Tak samo twierdzenie autora, jakoby studenci przygotowywali egzaminy tylko z podręczników, wobec czego zbyteczne są wykłady profesorów — jest mylne, bo 1-o często profesorowie wykładają szerzej taki właśnie materjał, jaki student musi przerobić do egzaminu i 2-o bywają wykłady, traktujące bardzo szeroko pewną małą gałąź wiedzy, opracowaną przez wykładającego: nie znajdzie się więc tego materjału w podręcznikach.

Pozatem uwagi autora nasuwają cały szereg zagadnień organizacji naszych wyższych uczelni, brak miejsca atoli nie pozwala już na ich szersze rozwinięcie.

JÓZEF SYKULSKI

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERATURY I NAUKI

Zorganizował się w Wilnie komitet społeczny uroczystości 350-lecia założenia i 10-lecia wskrzeszenia uniwersytetu Stefana Batorego. Komitet ten organizuje również uroczyste złożenie prochów Joachima Lelewela w ziemi wileńskiej. Dnia 17 b. m. prochy Lelewela, przewiezione do kraju na koszt rządu Rzeczy-

pospolitej przybyły do Gdyni. Witał je na ziemi polskiej w imieniu Wilna prezydent miasta, p. Folejewski i przedstawiciel uniwersytetu Stefana Batorego, ks. prof. Świrski. Prochy spoczywać będą w Wilnie, w kaplicy Bożego Ciała, aż do dnia uroczystego pogrzebu, t. j. do d. 9 października.

*

Bawili w Warszawie kilka dni mili goście z Londynu: pani Monika Gardner i brat jej prof. Edmund Gardner. Pani Gardner zajmuje się z upodobaniem literaturą polską i jest w tym zakresie bodaj jedyną w Anglji specjalistką. Wydała szereg cennych prac, między któremi pierwsze miejsce zajmuje monografja o Zygmuncie Krasińskim. P. Edmund Gardner jest profesorem literatury w uniwersytecie londyńskim, gdzie wykłada literaturę włoską.

Państwo Gardner odwiedzili redakcję „Myśli Narodowej", gdzie w gronie literatów spędzili parę godzin. Pani Gardner jest pilną i pełną uznania czytelniczką „Myśli Narodowej", zna dobrze stosunki w polskim świecie literackim i żywo interesuje się wszystkiemi zagadnieniami, w „Myśli Narodowej" poruszanemi.

*

Dowiadujemy się, że znakomite dzieło bibljograficzne Gabrjela Korbuta „Literatura polska" ukaże się w nowem wydaniu. Wydanie to będzie rozszerzone, przybędzie bowiem tom czwarty. Dotychczasowe trzy zupełnie oddawna były wyczerpane, nie wyobrażamy zaś sobie polonisty, który może się obejść bez tego kapitalnego dzieła podręcznego. Nowe wydanie Korbuta ukaże się dzięki pomocy materjalnej rządowego funduszu kultury, za co kierownictwu tej instytucji należy wyrazić uznanie.

*

Nakładem grona ziemian wyszła w Słonimie (drukiem wileńskim) książka Walerjana Charkiewicza „Zmierzch Unji kościelnej na Litwie i Białorusi" (S. 160). Są to bardzo interesujące przyczynki do dziejów kultury polskiej na północno-wschodnich ziemiach Rzplitej. Składają się zaś z dziewięciu opracowań cennych a nieznanych dotąd materjałów z początku XIX wieku, charakteryzujących przyczyny upadku kościoła unickiego. Ciekawe są wizerunki głównych tego okresu działaczy. Do książki dołączono pięknie wykonane portrety Józefa Siemaszki, Antoniego Tupalskiego, Placyda Jankowskiego i Makryny Mieczysławskiej, oraz szczegółowy indeks.

Książka wydana starannie, a zdobi ją okładka w barwach herbu miasta Słonima.

P. Charkiewicz wydał już poprzednio: „U grobu Unji kościelnej" (1926), oraz monografja o Placydzie Jankowskim (1928).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Komendant René Vanlande, autor interesujących prac, jak *„Au Maroc, sous les ordres de Lyautey"* *„Souvenirs de la Révolution Chinoise"*, publikuje obecnie u wydawcy J. Peyronnet niemniej ciekawą, a równocześnie pouczającą książkę p. t. *„Chez les Pères Blancs—Tunisie, Kabylie, Sahara"*. Autor zna oczywiście kolonje te doskonale, to też z dużą znajomością przedmiotu odmalowuje nam poświęcenie, z jakiem pracują tam francuscy misjonarze. Działalność „Białych Braci Afrykańskich" religijna i cywilizacyjna, jest pełna abnegacji, jak również i „Białych Sióstr" misjonarek, pracujących z tem samem co i oni oddaniem. Omawiając zaś tę działalność misjonarzy, tak ze wszech miar pożyteczną dla Francji, p. Vanlande przeciwstawia im niebezpieczną akcję przeciwfrancuską, prowadzoną w niektórych kolonjach przez misjonarzy metodystów amerykańskich.

*

Pani Lucie Delarue-Mardrus przygotowuje nową powieść pod tyt. *„Anmanit"*. Akcja jej rozgrywać się będzie w Egipcie odtwarzając życie jego w przeszłości jakoteż i egzystencję obecnych pokoleń.

*

W Niemczech wywołała zainteresowanie powieść Hansa Hauptmanna *„Die Memoiren des Satans"* (München, Deutschar Verlag, Paul Heysestrasse 9, 1929 cena 6 mk.), stanowiąc jakoby pendent do *„Biarritz"* Johna Rotcliffa. Dwie te powieści tworzyć mają historję podziemnych działań tajnych sekt, od czasów Świętego Przymierza do triumfalnego wystąpienia ich na widownię.

*

O. L. Urbano ogłosił drukiem obszernie studjum krytyczne o teorji względności: *„Einstein y Santo Tomas"*, oparte na twierdzeniach naukowych święty Tomasza, którego szczególniej interesowały zagadnienia przestrzeni, czasu i ruchu. Niemniej ciekawą jest praca uczonego augustjanina O. Angel C. Vega *„Introducción a la Filesofa de San Augustin"* ułatwiająca zrozumienie zagadnień filozoficznych, poruszonych przez innego, wielkiego Doktora Kościoła, św. Augustyna.

*

Na rynku księgarskim w Hiszpanji ukazała się ciekawa, szczególnie dla osób zajmujących się zagadnieniami literackiemi oraz techniką tworzenia wzorowej bibljografji, — książka znanego poety Paz de Borbon, p. t. *„Buscando las huellas de Don Quijote"*. (W poszukiwaniu śladów Don Kichota). Forma, w której jest tu podany materjał bibljograficzny, skierowuje niewątpliwie ten suchy dotyczas dział pracy naukowej na nowe tory, niezwykłe bowiem zamiłowanie przedmiotu i zabarwienie literackie zdoła zainteresować nawet szerszy ogół.

*

Świeżo wydany tomik urugwajskiego poety Gaston Figueira *„Para los ninos de America"* (Dla dzieci amerykańskich) zawiera krótkie wiersze, pisane z tak serdecznem uczuciem i umiłowaniem dzieci, a wraz z tem ze zrozumieniem i wżyciem się w duszę małych istotek, że może stanowić doskonały wzór w tej dziedzinie.

TEATR

„KONIEC PANI CHENEY"

WYSTAWIONA w Teatrze Małym sztuka F. Lonsdale'u p. t. „Koniec p. Cheney" należy do gatunku sztuk kryminalnych. Osnuta jest dookoła szantażu listowego (motyw we współczesnej literaturze angielskiej bardzo zużyty), oraz dookoła kradzieży perłowego naszyjnika (motyw oklepany jeszcz bardziej!) Komedyj tej podobnych istnieją całe tuziny. Ta, którą nam pokazano w zeszły wtorek, nie należy do najlepszych. Jest przytem niesympatyczna z tego powodu, że autor, starając się udowodnić tezę, iż między światem włamywaczy a najwyższemi sferami angielskiego społeczeństwa niema właściwie żadnej różnicy — używa argumentów błahych, płaskich i nieprzekonywających.

Sztukę wyreżyserowano niezbyt starannie. Świat arystokratek angielskich przypomina zanadto cukiernię Ziemiańską, w najlepszym zaś razie kawiarnię Hotelu Europejskiego. Aktorzy robili przejaskrawione karykatury „anglików z Kołomyji".

Panna Romanówna miała pretekst do pokazania paru pięknych toalet. P. Grabowski — kilku dobrze skrojonych garniturów.

ZASTĘPCA

NOWE KSIĄŻKI

Towarzystwo wydawnicze „Rój" wydało:

Gumslow M. Słodycze doczesnej miłości.

Conan Doyle. Przygody grenadjera Gerarda.

Karin Michaelis. Gunhild.

Szarecki Jerzy. Na pokładzie Lwowa.

Berkeley Reynald. O świcie.

Curwood J. O. Wśród Normanów.

Haszek Jarosław. Przygody dobrego wojaka podczas wojny światowej.

Newada Jan. Pomyłki Józefa Zbrowskiego. Powieść.

Wojtaszewski Miecz. Pieśń o krwi. Kraków 1929. „Anteny Literackie".

Słowiński Wojciech. Poezje. T. I. Berlin (1929). Z portretem.

Parczewska Melanja. Pisma. T. I. Wilno. Skład główny w księgarni św. Wojciecha w Wilnie. Str. LVI i 337.

Iłłakowiczówna Kaz. Pohadka o kralevici La—fi—Cqanu, o vojaku Sojowi a o divence Kio. Przełożla L. Korsakowa-Raszincowa. Praga 1929. Nakład E. Beaufort.

Charkiewicz Walerjan. Zmierzch unji kościelnej na Litwie i Białorusi. Przyczynki do dziejów kultury polskiej na północno-wschodnich ziemiach Rzplitej. Słonim 1929. Nakładem grupy ziemian. Skład główny w księgarni św. Wojciecha w Wilnie. Str. 158.

OFENSYWA

TAKŻE MI SŁOWIANIN!

Miłą i zabawną igraszkę intelektualną można sobie sporządzić stosunkowo tanim kosztem i małym zabiegiem. A mianowicie: Przy lekturze dłuższych prac analitycznych pewnej kategorji naszych nowych krytyków, kiedy przychodzą ustępy cięższe, głębsze, trudniejsze, któremi p. Müller chce zaimponować p. Breiterowi, p. Chwistek p. Peiperowi, p. Kozikowski p. Krzewskiemu, p. Hulka p. Stawarzowi, p. Stawarz p. Napierskiemu, p. Napierski p. Horzycy i p. Horzyca p. J. N. Müllerowi i tp. i td., należy lekturę na chwilę przerwać, poczem ustęp, przy którego lekturze przyszedł stan znużenia i przemęczenia zakreślić sobie czerwonym ołówkiem. Następnie ołówkiem niebieskim należy poprzekreślać kilka czy kilkanaście słów w różnych zdaniach i miejscach. Wreszcie na miejsce tych słów wpisać słowa inne, których spis ma się na osobnej kartce. Poczem należy wstać i odczytać na głos cały ustęp z wstawionemi nowemi słowami...

I wtedy okaże się rzecz bardzo zabawna i niespodziewana. Nowa redakcja tego ustępu nabiera odrazu nowego powabu, ma taki sam sens i cel, a praca krytyczna, studjum, analiza, recenzja, nie tylko nic nie straciła na tem „podejściu“ do autora, ale jeszcze zyskała...

Takich słów zapasowych podręcznych, zamagazynowanych trzeba mieć przynajmniej dwieście, ale można mieć także trzysta do pięciuset. Wyżej zbyteczne. Te słowa, któremi się operuje w krytycznej, obiegowej djalektyce, to są mniej więcej następujące: uchwyt, uwartościować, równowartość, przewartościowanie, objektywizacja, subjektywizacja, odprężenie, sprężyna, koncepcja, dysproporcjonalne, syntetyzm, wzruszeniowość, emocje, teorjopoznawcze, afekt, efekt, tworzywo, proces, funkcje, konkretyzacja, sfera, zakres, zręby, zew, kryterja, sprawdziany, aktualizacja, podłoże, elementy, dynamika, narastanie, przerost, zagadnienie, pluralizm, puls, dyspozycje, skupienie, formuła, płaszczyzna, platforma, forma, deformacja, postulat, tendencjonalny, wizje, napięcie, możliwości, pojemność, wymiar, umiar, napięcie, dynamiczny, kategorjoznawczy, zagadnienie, poczynanie, metafora, konstrukcjonalizm...

I teraz proszę dla przykładu wziąć jeden ze świeżych tomów któregoś z naszych miarodajników, wzajem sobie recenzjonalnie świadczących, prowadzących ze sobą publiczne, patetyczne—dyskusje, namiętnie a kurtuazyjnie wzajem siebie cytujących, ogromnie swoje postawy wzajemnie wyolbrzymiających, wagę werdyktów swoich wzajemnie, szlachetnie i wielkodusznie przeceniających. I taki tom prac krytycznych, „walk“ o to czy o tamto kogucio prowadzonych w bezechowej próżni, w *vacuum*, proszę poddać takiemu wesołemu zabiegowi, a rezultaty można zyskać nadzwyczajne. Dość powiedzieć, że i błędy zecerskie, t.zw. chochliki drukarskie walorom tych analiz „psychognostycznych“ i „kategorjoznawczych“ też nie tylko nie szkodzą, ale przeważnie nawet pomagają.

Pisze naprzykład pan Leon Pomirowski o książce Karola Irzykowskiego, tj. krytyk ponoć utalentowany, ale wciąż na gołosłowną retorykę zapadający, o dziele krytyka często fenomenalnie świeżo myślącego, a często przesypującego sam piasek słów. I w tem pisaniu jest taki ustęp:

„Aktualności, mianowicie, traktuje autor jako absolutne wartości chwil, tworzących wielką poziomą płaszczyznę która znajduje się w stanie ciągłej anarchji. Aktualności te — przejawy myślowej lub realnej rzeczywistości — stają się, jako komórki i tkanki materjału artystycznego, punktem wyjścia dla nowej rzeczywistości w postaci dzieła nauki. Dzieło to więc jest wyższego rzędu aktualnością, która przezwyciężyła wartość chwili. Hierarchiczność ta powstaje dzięki napięciom i ładunkom, któremi dany twórca elektryzuje podjęte tematy. Wynikające stąd pojęcie formy jest tedy odpowiednikiem pojęcia rosnącej treści, która „potęgą wydobytych możliwości swoich opanowywa przestrzeń i czas, a więc chaotyczność i chwilowość aktualności“.

I teraz proszę, i to całkiem dowolnie, na miejsce słów poprzekreślanych powstawiać słowa z magazynu słownego. A potem proszę na głos odczytać.

Dlaczego właśnie i specjalnie p. Pomirowskiego etudy i warjacje krytyczne proponujemy do takiej igraszki? Ponieważ przedewszystkiem najbardziej się nadaje przez swoją grandilokwencję frazeologiczną. Następnie zaś dlatego, ponieważ pisząc w praskim miesięczniku „*Slavische Rundschau*“ pracę o nowej polskiej krytyce literackiej, kierował się w doborze prezentowanych nie rzeczową, objektywną sumiennością, a kapryśnem, koteryjnem partyjnictwem. Uznał tedy za godnych wyszczególnienia przed europejskiem *forum* właśnie tych pisarzy, których prace można poddać bez szkody owemu wesołemu zabiegowi, *par exemple* pp. Breitera i Peipera. Karygodnie i nielojalnie zataił i przemilczał tych, którzy tak piszą i tak myślą rzetelnie, jasno, prosto, jednobarwnie, logicznie i kategorycznie, że wesołej igraszce (przezemnie wynalezionej i jeszcze nie opatentowanej) poddać ich nie można. W regestrze p. Pomirowskiego dla „*Slavische Rundschau*“ niema tedy: Z. Wasilewskiego, Wł. Jabłonowskiego, St. Cywińskiego, Grzymały-Siedleckiego, Lorentowicza, Skiwskiego, Borowego, Sobeskiego, ale... Peipery w komplecie. Jeżeli się zaś zważy, że to było pisane dla „*Slavische Rundschau*“ po polsku dla ...„S ł o w i a ń s k i e g o Przeglądu“, to zdumiewać się przyjdzie nad tem, skąd ta p. Pomirowskiego predylekcja dla... Judosłowian, a ta bagatelizacja... Polaków. No a potem przyjdzie też zdumiewać się nad tem, skąd i jak pan Pomirowski (*nom de guerre* zdaje się) znalazł się między ...słowianami?

On dit bowiem, że z domu Pomper.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Głos Prawdy“ wydaje jedno za drugiem świadectwa Narodowej Demokracji, ciągle w przekonaniu, że przemawia do „narodu idjotów“. Więc teraz, kiedy klub Narodowy odmówił sobie przyjemności rozmawiania z min. Piłsudskim, organ p. Stpiczyńskiego zapewnia opinję i historję, że Nar. Dem. „nigdy nie była z d o l n a do z d o b y c i a s i ę na poziom myślenia o całokształcie interesów narodowych“. „Wypływa to — z braku jej sił do twórczego ustosunkowania się do polskiej rzeczywistości, której nigdy kształtować, ani kierować nią nie umiała“. Piszący te żale tak pięknym stylem zapomina, że od trzech lat w tym samym dzienniku zapewniano czytelnika, że Dem. Narodowej już niema, że ma już połamane kości, albo że zginęła (zapewne uciekła zagranicę przez Łazienki Fajansa), że przewrót wybawił od niej Polskę, że dopiero teraz Polska jest uzdrowiona, uregulowana, radosna. Tymczasem po trzech latach tej „sanacji“ i radości „naród idjotów“ dowiaduje się, że Nar. Demokracja jest do czegoś potrzebna. Bo właśnie „trzeba się wziąć za bary z życiem i życie to skierować w odpowiedni nurt, który płynąć ma według konstruktywnego planu“. Bagatela! Więc jest „nurt życia“, trzeba się z nim wziąć „za bary“! A tak przekonywaliście, że tylko z mostu, prosto z mostu można dojść do celu, bez żadnego „konstruktywnego planu“. Prosto z mostu, a potem na lewo — koło Fajansa i na Rogów...

*

Potępiając niesmaczny i szkodliwy z punktu widzenia polityki polskiej entuzjazm prasy „sanacyjnej“ z okazji pozostawienia p. Zaleskiego w Radzie Ligi Narodów, p. Cat (Mackiewicz) pisze w „Słowie“ wileńskiem:

„Gdyby więc teraz Polska nie została do Rady wybrana, byłoby to nietylko naszą klęską, lecz stancwiłoby to całkowite obalenie tego systemu polityki francuskiej, który nie wiążąc już polityki francuskiej z polityką polską, temniemniej widzi w Polsce niezbędną reasekurację. Gdyby więc Polska nie weszła do Rady, to byłby wielki skandal, wielkie załamanie się polityki francuskiej... A o ile ja rozumiem wyraz „sukces“, nie można nim określić tego, że się uniknęło katastrofy. Nie mogę np. po przejściu ulicy oświadczyć znajomym: spotkał mnie sukces, przeszedłem ulicą i nie spotkał mnie wypadek samochodowy“...

*

Żydowski „Nasz Przegląd“ szeroko rozpisał się o aktorce wiedeńskiej, Marji Orskiej, „żydówce z Warszawy“. „W postaciach...“ — wychwala—„perwersyjnego zatraceńca (mowa o Wedekindzie) czuła się najlepiej. W atmosferze dekadencko-perwersyjnej jego dramatów urastał jej talent do genjalności“. Twierdzi tylko autor artykułu w „Naszym Przeglądzie“, że... „j e j a k c e n t s ł o w i a ń s k i raził ucho“ wszechniemiecko usposobionych Wiedeńczyków...

Żydowscy nacjonaliści byliby bez porównania sympatyczniejsi, jeżeli jednocześnie nie mieliby ochoty być... „słowianami“. Bo i w słowiańskiej Polsce „słowiański akcent“ także coraz bardziej „razi ucho“...

Przypominamy Sz. PP. Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał IV.

Egzemplarze nieopłacone za kwartał III-ci zostaną wstrzymane.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM